

Solidarność WALCZĄCA

KWARTALNIK POLITYCZNY

Nr 2 (321) rok XVII wiosna 1998 r. cena 1,50 zł



Czytaj s. 16-17

WKRÓTCE:

- M. KOZŁOWSKI, B. Śliwa – szermierz wolności
- O Instytucie J. Piłsudskiego w Nowym Jorku

W numerze:

● PODZIELNA A CAŁA K. Morawiecki

H. Łopuszańska całym swym otwartym życiem służyła ludziom i Ojczyźnie.

s. 2

● ...TAKIM SIĘ STAJESZ A. Zybertowicz

Dla Art-B pracowali kiedyś M. Siwiec oraz poseł SLD J. Dziewulski.

s. 5

● OBAWY LIBERAŁÓW R. Limbaugh

Marginalizacja idei konserwatywnych przegrała. Większość Amerykanów jest w rzeczywistości konserwatystami.

s. 7

● O HISTORII SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ Wywiad z A. Mycem

Błędem SB, która chciała zniszczyć SW, było szukanie mitycznego centrum organizacji, którego w rzeczywistości nie było.

s. 18

W NUMERZE:

W obecnym, wiosennym numerze „SW” w dziale **Fakty i Komentarze** przedstawiamy artykuły **Jana Kopyckiego** „Dyskretny urok UOP-u”, **Andrzeja Zybortowicza**, „...takim się stajesz” oraz **Krzysztofa Brzechcyna** „O propozycji Romaszewskiego”.

W dziale **Ameryka, Ameryka** przedrukujemy z konserwatywnego kwartalnika „Police Review” dwa teksty. Jeden z nich autorstwa **Rusha Limbaugha** „Dlaczego liberałowie się mnie boją?” jest polemiką z amerykańskim liberalizmem, a drugi – **Bruca Frohena** „Czy duch konserwatyzmu się zatracił?” poświęcony jest wybitnemu amerykańskiemu konserwatyście – **Russelowi Kirkowi**.

Kwartalny cykl wydawania naszego pisma nie pozwala na bieżąco komentować wydarzeń politycznych. Afery, w które popada rząd Buzka – żelatynowa, a teraz związana z domniemaną współpracą z SB wicepremiera J. Tomaszewskiego jest swoistą pośmiertną zemstą PRL-u. Koalicji AWS-UW wydawało się, że można rządzić Polską zajmując się wyłącznie reformą administracyjną, opracowywaniem systemu podatkowego, reformą zdrowia itd. Tymczasem po raz kolejny okazuje się, że nie można tego robić bez rozliczenia się PRL-em. Jego elementami jest tzw. opcja zerowa w służbach specjalnych ustawa lustracyjna umożliwiającą oczyszczającą polityków z niestusznych zarzutów oraz eliminująca tych, którzy splamili się współpracą z SB i ustawa

o dekomunizacyjna rozbijająca układy nomenklaturowe w gospodarce i polityce. Problemy te pośrednio w dziale **Polska – ale jaka?** podejmuje artykuł **Krzysztofa Brzechcyna** „Czy PZPR była organizacją przestępczą?” oraz **Andrzeja Zybortowicza** „Argument w sprawie dekomunizacji”.

W dziale **Historia najnowsza** przedstawiamy wywiad z **Andrzejem Mycem**, członkiem Komitetu Wykonawczego Organizacji „Solidarność Walcząca”. W **Liściach do Redakcji** publikujemy list pana **Witolda Kasprzyka** i odpowiedź **Marka Kozłowskiego**.

Następny podwójny, letnio-jesienny numer „SW” ukaże się w październiku 1998 roku.

Życzę przyjemnej lektury
REDAKTOR NACZELNY

Podzielna a cała...

„Pamiętaj, powiedz, że Halinka była dobra, dzielna i mądra”. – takie przypomnienia dała mi nasza młodsza koleżanka, kiedy w słoneczne lutowe popołudnie szliśmy na pogrzeb. Ś.p. Halina Pidek-Łopuszańska była damą wrocławskiej matematyki. Wybitnie zdolna i błyskotliwa lecz bardziej jeszcze pomagała studentom, asystentom, kolegom. W kontaktach prosta i szczerą – bez spoufalania. Z wielką odwagą cywilną – w latach siedemdziesiątych, jedna z nielicznych o takiej pozycji i stanowisku, nie wahała się podpisywać pod publicznymi protestami w obronie spraw i ludzi.

Bliżej poznaliśmy się podczas wielkiej narodowej przygody – w okresie Solidarności. Zakładała ten związek w Instytucie i była jego przewodniczącą za legalnej, a potem podziemnej działalności. Swojej przyjaciółce pełniącej ważną konspiracyjną rolę w Solidarności Walczącej potrafiła powiedzieć: dysponuj mną o każdej porze dnia i nocy. I nie było to

puste słowa. W okresie stanu wojennego, w trudnych latach osiemdziesiątych zawsze można było na nią liczyć.

Wspomnienie Haliny na cmentarzu zakończyłem cytatem C.K. Norwida (z wiersza: *Do Zeszłej. Na grobowym głazie*):

Sieni tej drzewi otworem poza sobą

Zostaw – – wlećmy już dalej!...

Tam, gdzie jest Nikt i jest Osoba;

– Podzielni wszyscy, a cali!...

Halina Łopuszańska całym swym otwartym życiem służyła ludziom i Ojczyźnie. Tak bardzo podzielna, a tak bardzo

cała! Dla nas, którzy spotkaliśmy Ją w tym przedśionku, na tej ziemi, wezwanie Poety: „wlećmy już dalej!” pozostanie, mimo Jej śmierci, trochę łatwiejsze.

Kornel Morawiecki

Pierwodruk: „Przemat. Pismo informacyjne Politechniki Wrocławskiej”, marzec 1998, nr 104, str. 9.

Z powodu śmierci
doc. Haliny Pidek-Łopuszańskiej
współpracującej w latach stanu wojennego
z Organizacją „Solidarność Walcząca”
wyrazy współczucia Rodzinie
składa
Redakcja Kwartalnika Politycznego
„Solidarność Walcząca”
i członkowie Organizacji „Solidarność Walcząca”

STAŁE PUNKTY SPRZEDAŻY „SW”

„SW” można zamawiać w punktach
sprzedaży prasy współpracujących
z firmą kolportażową **ROLKON**

(60-801 Poznań, ul. Marcelińska 18,
tel./fax 865-65-59)

Poznań
Księgarnia Konserwatywna „WERS”,
ul. Kraszewskiego 8;

Księgarnia Uniwersytecka,
Filia w Collegium Historicum, ul. Św. Marcin 78

◆ ◆ ◆

Warszawa
Księgarnia Konserwatywna **ANTYK**,
Pl. Trzech Krzyży 3

SPIS TREŚCI

FAKTY I KOMENTARZE

Kornel Morawiecki	<i>Podzielna a cała...</i>	2
Janusz Kopycki	<i>Dyskretny urok UOP-u</i>	4
Andrzej Zybertowicz	<i>...takim się stajesz</i>	5
Krzysztof Brzechczyn	<i>O propozycji Romaszewskiego</i>	6

AMERYKA, AMERYKA

Rush Limbaugh	<i>Dlaczego liberałowie się mnie boją?</i>	7
Bruce Frohnen	<i>Czy duch konserwatyzmu się zatracił?</i>	13
	<i>Na wpół zapomniane dziedzictwo Russela Kirka.</i>	

POLSKA – ALE JAKA?

Krzysztof Brzechczyn	<i>Czy PZPR była organizacją przestępczą?</i>	16
Andrzej Zybertowicz	<i>Argument w sprawie dekomunizacji</i>	17

HISTORIA NAJNOWSZA

Krzysztof Brzechczyn	<i>Solidarność Walcząca była organizacją czynnego oporu – wywiad z Andrzejem Mycem</i>	18
----------------------	--	----

LISTY DO REDAKCJI

Romuald Lazarowicz	<i>Listy do redakcji „Życia”</i>	24
Witold Kasprzyk	<i>Odpowiedź krótka Panu M. Kozłowskiemu</i>	24
Marek Kozłowski	<i>Odpowiedź</i>	24



Numer zamknięto 18 V 1998 r. **Wydawca:** Wydawnictwo „WiS”.

Redaguje zespół: Krzysztof Brzechczyn (**redaktor naczelny**), Maciej Frankiewicz, Janusz Kopycki, Romuald Lazarowicz, Kornel Morawiecki, Olgierd Żmudzki.

Adres redakcji: 61-655 Poznań, „Solidarność Walcząca”, ul. Gromadzka 23a, tel./fax (0-61) 8532-857

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i zmiany tytułów w nadsyłanych materiałach. Tekstów nie zamówionych nie zwracamy. **Prenumerata roczna** (gwarantuje otrzymanie czterech kolejnych numerów) – 9 zł. **Prenumerata zagraniczna roczna** – 10\$. Przekazy pocztowe z dokładnym adresem prenumeratora i liczbą zamawianych egzemplarzy prosimy kierować pod adresem wydawcy: Wydawnictwo „WiS”, ul. Gromadzka 23a, 61-655 Poznań. Cena reklamy: 1 cm² – 20 groszy. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń.

Wiele się pisze w „Solidarności Walczącej” o działalności tajnych służb w Polsce i nie tylko, lustracji, teczkach, aktach, tajnych współpracownikach i agentach. Rzadko, bo rzadko, ale jednak niektórzy działacze prawi-

cowej opozycji, jak p. pabianicki działacz ROP i „Solidarności 80”, Marek Chwalewski, odczuwają jej działalność na własnej skórze do dziś. Aby nie przedłużać, przedstawię interesujące fakty z życia pana Marka Chwalewskiego w ciągu 1997 roku.

Akt. I. „Randka w ciemno”

- a) czas: początek marca 1997 roku,
- b) miejsce: Pabianice, róg ulicy św. Jana i Zamkowej przy sklepie „Delikatesy”,
- c) aktorzy: Marek Chwalewski, znany pabianicki działacz ROP i przewodniczący „Solidarności 80”, oraz tajemniczy starszy pan, ok. 50 lat wysoki przystojniak w kapeluszu i kurtce, siwizna na głowie, w dłoni mała skórzana szaszetka.

Starszy mężczyzna przeprosił Marka, mówiąc:

- Przepraszam, ale chciałbym zamienić z panem parę słów w pewnej... konkretnej, acz delikatnej sprawie... Widzę pana – kontynuował – jak często rozdaje pan ludziom ulotki i gazetki („Co wy na to” – biuletyn pabianickiej „Solidarności 80”). Od słowa do słowa i chciał coś poradzić panu Markowi tajemniczy, jak do tej pory, starszawy przystojniak. Przedstawił się jako... były pracownik Komendy Wojewódzkiej w Łodzi (nazwiska ani imienia nie podał).

- Znam pana, wiem kim pan jest – już nieco „rozpoznany” tajemniczy nieznajomy ciągnął dalej swój monolog – wiem też, że... kolekcjonuje pan starą broń i amunicję, stara się pan o pozwolenie na broń. Może ją pan uzyskać pod warunkiem... złagodzenia działalności!

Zdziwiony Marek Chwalewski udał zaskoczenie. Zapytał:

- O co chodzi?
- Niech pan zaprzesta swojej wyrotowej działalności w „Pamotexie” (największy pabianicki zakład przemysłowy) i podburzania ludzi swoim „Co wy na to”, wtedy nikt się nie będzie pana czepiał – rzucił od niechcenia eks-esbek. Otrzyma pan wtedy pozwolenie na broń, a najlepiej, jakby pan przystał na... współpracę z UOP-em! Życie stanie się dla pana nagle łatwe, proste, a być może i... poprawią się pańskie finanse!

(Marek Chwalewski od czerwca roku 1996 przebywa na przedemerytalnym zasiłku dla bezrobotnych po bezprawnym zwolnieniu go po ogłoszeniu wyników tajnego głosowania pracowników do Rady Nadzorczej zakładu „Pamotex”, którego załoga obdarzyła naszego zainteresowanego największym zaufaniem, dając mu najwięcej głosów).

Akt. II. „Współżycie gwałtem wymuszone!”

10 kwietnia 1997 roku w godzinach popołudniowych (około godziny 16.00) UOP wraz z cywilną policją nachodzi mieszkanie Marka Chwalewskiego, zamieszkałego w Woli Zaradzińskiej. Rewizję mieszkania przeprowadzono jak za starych esbeckich czasów, tj. bez żadnych dokumentów wtargnięto na teren prywatnej posesji pana Marka (domku jednorodzinny). W wyniku rewizji znaleziono zabytkową broń. Od lat Chwalewski stara się o pozwolenie na nią. Jest w posiadaniu prawomocnego

wyroku Naczelnego Sądu Administracyjnego uchylającego decyzję Komendanta Głównego Policji w Warszawie, nie przyznającej Chwalewskiemu pozwolenia na broń palną. Mimo takiego wyroku, pozwolenia od Ko-

mendanta Głównego do dzisiaj nie otrzymał. Miłośnikom twierdzenia, że żyjemy wreszcie w państwie prawa, powinno to dać wiele do myślenia. W Polsce nie rządzi PRAWO lecz TAJNE SŁUŻBY!

Panu Markowi nie pozostało nic innego, jak tylko odwołać się do... Strassburga!

- ☐ **No to dali Panu Strassburg, ICH odpowiedzią na Pańskie niepokorne działania polityczne w Pabianicach i prawie wygrany bój o prawne posiadanie broni, było zrobienie z Pana bandyty, i to na pół roku przed parlamentarnymi wyborami.**

Zgadza się, dali mi rochę popalić. Ale jest to drobnostka w porównaniu z tym, co mnie spotykało z ICH strony w latach 70. i 80.

- ☐ **Jak w takim razie traktowała Pana policja Anno Domini 1997?**

Po rewizji przewieziono mnie w miejsce bardzo dobrze mi znane, czyli na Komendę Rejonową Policji w Pabianicach i zamknięto. Jeśli chodzi o traktowanie mnie przez szeregowych policjantów, to zachowywali się poprawnie, a nawet, powiedziałbym, grzecznie.

- ☐ **Jak długo przebywał Pan w zamknięciu?**

20 godzin, tj. do czasu przesłuchania przez prokuratora.

- ☐ **Co się działo po opuszczeniu przez Pana Komendy Rejonowej Policji w Pabianicach?**

Zaraz po wyjściu, właściwie tego samego dnia, 11 kwietnia 1997 roku, zostałem zaatakowany, i to wściekle, przez wszystkie lokalne, i nie tylko, media. Od miejscowej, pabianickiej telewizji kablowej, poprzez regionalną łódzką, a na informacji w wieczornych Wiadomościach TVP kończąc. Prasa również. Szczególnie zjadliwa była lokalna gadzinówka – „Nowe Życie Pabianic”. Gazeta ta oszczałała mnie bardzo w swoim artykule, którego autor nie odważył się nawet podpisać. W artykule tym zrobiono ze mnie radykalnego działacza ROP-u, biegającego po Pabianicach z karabinem w rękę i z odbezpieczonym granatem w zębach.

- ☐ **Wszystko wskazuje na to, że UOP nie próżnuje i nie marnuje czasu. Zajmuje się, jak widać na Pańskim przykładzie, eliminowaniem groźnych dla NICH przeciwników politycznych. Cała akcja nagonki na Pana wskazuje na scenariusz zaplanowany z zegarmistrzowską precyzją.**

Tak, zgadza się, precyzji to IM odmówić nie można. Uderzenie tajnych służb nastąpiło w momencie wyłaniania się kandydatów do parlamentu. Słowem, zrobiono wiele, bym się na tej liście nie znalazł. I udało IM się tego dokonać.

- ☐ **Jak zareagowały na te wydarzenia, dotyczące przecież członka ich partii, władze okręgowe ROP-u w Łodzi?**

Dokładnie tak, jak chciał tego UOP!

- ☐ **Akt III. „O małżeńskie zdradzie władz okręgowych ROP-u w Łodzi.”**

- ☐ **Czy mógłby Pan rozwinąć tę myśl, że władze ROP-u okręgu łódzkiego zachowały się dokładnie tak, jak życzył sobie tego UOP? Czyżby podejrzenie o agenturalność w łódzkim ROP-ie?**

Nie to miałem na myśli. By jednak niczego nie insynuować, przedstawię fakty. Pomimo telefonicznych zapewnień od przewodniczącego okręgu, Stanisława Pisarzewskiego, deklarującego zorganizowanie konferencji prasowej i pomocy prawnej, żadnej z takowych nie otrzymałem.

□ A jednak konferencja prasowa się odbyła...!

Nie zawiedli starzy przyjaciele, np. Piotr Jaworski (przewodniczący Partii Wolności w Łodzi), który wraz z liderem Federacji Młodych ROP, Sebastianem Kwiatkowskim, zapewнили mi pomoc prawną i dostęp do mediów. W akcję włączyły się lokalne rozgłośnie radiowe, niektóre lokalne gazety i łódzka telewizja. Sprawa zaczęła się wyjaśniać. „Bandyta” mógł się już bronić. Pomocy prawnej udzielił mecenas Błaszowski.

□ Czyli wszystko poszło dobrze?

Niezupełnie tak. Tajnym służbom udało się osiągnąć ICH główny cel – Marek Chwalewski nie kandydował na posła z ramienia łódzkiego ROP-u. Jest to bezpośredni wynik spektakularnej akcji UOP. Poza tym władze okręgu ROP zawiesiły w czynnościach przewodniczącego Federacji Młodych, Sebastiana Kwiatkowskiego, za to, iż podobno bez zgody władz okręgu zorganizował konferencję prasową dla mnie! Zawieszenie nastąpiło nieprawnie, złamano statut ROP-u. Zawieszać może tylko Sąd Koleżeński, który *de facto* się nie odbył. Podsumowując, trzeba podkreślić negatywną rolę w tym dziwnym incydencie przewodniczącego Stanisława Pisarzewskiego i członka zarządu okręgu, Jarosława Szymańskiego.

□ Ostatecznie nie znalazł się Pan na liście osób kandydujących do parlamentu z ROP-u. Dzisiaj już wiadomo, że ROP poniósł w województwie łódzkim klęskę. Z Łodzi nie ma nawet jednego posła z tego ugrupowania. Janowi Parysowi, pierwszemu z listy, zabrakło około 3 tys. głosów, a Łódź liczy ponad 800 tys. mieszkańców.

Myszę, że powyższe fakty dają już częściową odpowiedź, dlaczego ROP w Łodzi przegrał.

□ Czy przewiduje Pan zmiany we władzach okręgu?

W połowie stycznia 1998 roku ma się odbyć II Zwyczajny Zjazd Kandydatów ROP-u okręgu łódzkiego. Myszę, że zmiany są nieuniknione, na zjeździe może dojść do zmian we władzach okręgu.

□ Jaki był prawdziwy powód niechęci obecnych władz okręgu do Pańskiej osoby?

Sądzę, że po pierwsze, jestem członkiem stowarzyszonym ROP-u jako związkowiec („Solidarność ’80”) i, po drugie, członkiem Partii Wolności. To mogło stanowić powód niechęci władz okręgu.

□ Słowem, można mówić o... zdradzie małżeńskiej politycznego partnera.

Można to i tak ująć.

□ Dziękuję za rozmowę.

Ja również.

Akt IV. „Post scriptum”

Feralnego 10 kwietnia 1997 roku wszczęto śledztwo przeciwko ówczesnemu Ministrowi Spraw Wewnętrznych i Administracji, Leszkowi Millerowi, za nielegalne (okres 2 lat) posiadanie broni. Jakoś nikt z tego powodu nie zamknął ministra w areszcie. Wiadomo, prokuratorskie oświadczenie brzmiało, że Miller nie jest zwykłym Jasiem Kowalskim!

W trakcie rewizji w mieszkaniu pana Marka skonfiskowano zabytkową broń, jak i unikatowe już dziś ulotki z lat 70. Czyżby jakiś „uopowiec-kolekcjoner”? Jeśli tak, to ciekawe, czy słyszał o siódmym przykazaniu?

Janusz Kopycki

... takim się stajesz

Mirosław Brych od dawna jest adwokatem Bogusława Bagsika. W izraelskim domu Bagsika gościł „Pershing”. Tygodnik „Nie” pisał o fotografiach z tej wizyty: „Zażyłość, jaka bije z tych zdjęć, zda się świadczyć o długiej znajomości”. Na zdjęciach jest też kolega „Pershinga”, Wiesław P. – „Wicek”, oskarżony o bandytyzm. Brych jest także jego obrońcą. Bagsika odwiedzał w Izraelu również Ireneusz Sekuła. Sprzedał on Bagsikowi swoje mieszkanie w Warszawie. Od Bagsika nabył je „Wicek”, a w 1996 roku Brych wynajął je na swoją kancelarię. Sekuła mówi, że „Wicka” poznał przez swojego parlamentarnego kolegę, ówczesnego senatora, Aleksandra Gawronika. Niektóre wątki tej sprawy tygodnik „Nie” w 1996 skomentował następująco: „nie wiemy (...), które ze złotych i dolarów wręczanych politykom (...) pochodziły z oscylatora, które z kradzieży samochodów, które z wymuszeń, a które zarobiono z kijem baseballowym w garści. (...) w gruncie rzeczy nie wiemy, jak głęboko i jak gęsto przeplatają się te dwa polskie światy – świat elit politycznych i świat gangsterski. W jakiś sposób jednak jakaś część świata polityki znalazła się w rękach Bagsika, »Pershinga«, i Wiesława P., ksywa »Wicek«”.

Dla Atrt-B pracował kiedyś obecny szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego w Urzędzie Prezydenta, Marek Siwiec, oraz poseł SLD, Jerzy Dziewulski, odpowiedzialny za bezpieczeń-

stwo Kwaśniewskiego w kampanii prezydenckiej. Dziewulski i Bagsik mówią o sobie jako o przyjaciółach.

W 1994 roku Sekuła na sejmowym blankiecie poręczył za Andrzeja P., byłego prezesa Sądu Rejonowego, zamieszanego, w aferę węglową. Sam Sekuła podejrzany jest m.in. o to, że w 1994 roku jako szef GUC doprowadził do straty ok. 1 mln zł, decydując o przekazaniu tej sumy Universalowi na zakup nieruchomości nie będącej własnością tej firmy. Szef Uniwersalu finansuje wydawanie „Trybuny”. Gdy w 1995 roku posłowie SLD zablokowali uchylenie immunitetu Sekuły, ówczesny kandydat na prezydenta, Kwaśniewski, wstrzymał się od głosu.

W 1990 roku liderzy SdRP – Aleksander Kwaśniewski, Leszek Miller i Wiesław Huszcza – zawarli z mec. Brychem umowę depozytu pochodzącej z konta b. PZPR sumy równoważnej ponad 7 mln dolarów. Podejrzenie, że była to operacja nielegalna, nie rozwiano do dziś.

„Pershing” i „Wicek” siedzą w więzieniu. Trwają procesy Gawronika oraz szefa BBN za czasów Wałęsy, Macieja Zalewskiego, oskarżonego o uprzedzenie szefów Art-B o grożącym im aresztowaniu. Przed sądem stoi Bagsik. Na rozprawy czekają Sekuła i Przywierczerski.

Ale co z resztą towarzystwa? A przecież stare porzekadło mówi: z kim przestajesz...

Andrzej Zybertowicz

Pierwodruk: „Nowości”, Toruń 21 III 1998 r., nr 68, s. 4.

O propozycji Romaszewskiego

Afera z żelatyną uświadomiła wszystkim głębię i siłę związków pomiędzy polityką a biznesem. Mechanizm tych zależności w skrócie można wyrazić następująco. Przed wyborami biznesmeni przezornie łożą na kampanie polityczne wszystkich partii. Później, po wyborach, niezależnie od tego, która partia odnieśli zwycięstwo, musi ona „odwdziżyć” się hojnemu biznesmenowi. Polega to w zależności od branży darczyńcy na zmniejszaniu bądź zwiększaniu ceł, umarzaniu podatków czy podejmowaniu konkretnych decyzji gospodarczych, zgodnych z wolą sponsora kampanii politycznej danej partii. Jak widać, związki pomiędzy biznesem a polityką są aideowe, płaci się z reguły na wszystkie partie, które mają szanse uzyskać dobry wynik wyborczy, a partie polityczne biorą od wszystkich, niezależnie od ich sympatii politycznych.

Rozwiązaniem tego problemu ma być propozycja senatora Zbigniewa Romaszewskiego. Polega ona z grubsza na tym, że podatnik przy wypełnianiu PIT-u deklarowałby, na jaką partię chciałby przeznaczyć swoje 1 zł. Pieniądze tych, którzy nie potrafiliby zadeklarować swoich sympatii politycznych, dzielone byłyby proporcjonalnie pomiędzy wszystkie partie. W ten sposób – argumentuje Z. Romaszewski – pani emerytka Kowalska miałaby taki sam wpływ na politykę, jak właściciel Grabek. Propozycja ta ma jednak dość istotne wady. Po pierwsze, nie każdy życzy sobie aby jego, nawet skromne 1 zł było przeznaczone na jakąkolwiek partię polityczną.

Połowa osób uprawnionych do głosowania nie chodzi na wybory – nie z powodów politycznych (np. dlatego, że są anarchistami), ale dlatego, że po prostu nie interesują się życiem politycznym. Po drugie, zwiększa się w ten sposób wiedza, a więc i władza instytucji państwowych (urzędów skarbowych) nad obywatelem. Urząd skarbowy zna już dochody obywatela, będzie znał jego preferencje polityczne, a wkrótce może poznać – w związku z projektem wprowadzenia tzw. podatku kościelnego – jego opcje światopoglądowe. Czy czasem państwo (nie tylko postkomunistyczne, ale wszelkie) nie za dużo będzie mieć informacji o prywatności obywatela? Po trzecie, bezpośrednie łożenie na partię polityczną jest tańsze niż korzystanie z usług pośrednika, jakim niewątpliwie będzie urząd skarbowy. Odprowadzanie pieniędzy podatnika na konta bankowe partii politycznych wymaga przeprowadzenia pewnych działań i operacji. Do ich wykonania trzeba zatrudnić jeszcze więcej urzędników skarbowych – np. referenta ds. partii politycznych (całkiem zgrabna nazwa). Obawiam się ponadto, że ta propozycja wcale nie rozwiąże problemu korupcjogennych związków pomiędzy biznesmenami a pręku-pnymi politykami. Ciśnienie konkurencji politycznej jest tak duże, że partiom politycznym zależeć będzie zarówno na złotówce emerytki Kowalskiej, jak i na milionach biznesmena Grabka. Sumy pieniężne ofiarowane przez „grabkowatych” biznesmenów są korzystne z jeszcze jednego powodu – są w znacznej



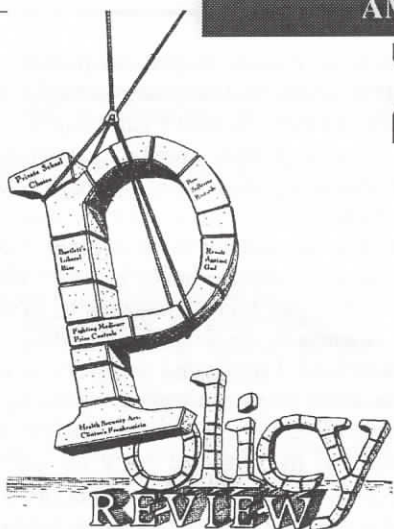
Rys. Arkadiusz Gacparski

mierze nie ewidencjonowane i mogą być w sposób nie ewidencjonowany wydawane.

Rozwiązaniem problemu korupcji politycznej nie jest wcale wprowadzenie takiego systemu, w którym politykom przestałoby się opłacać brać, gdyż brać opłaca się zawsze, ale takiego, w którym biznesmenom przestaje opłacać się dawać. To zaś jest możliwe, gdy zmniejszy się poziom ingerencji państwa w gospodarkę. Uproszczenie systemu podatkowego, zmniejszenie ceł, możliwości odpisów od podatków, likwidacja koncesji i, ogólnie rzecz biorąc, odbiurokratyzowanie gospodarki spowoduje, że właścicielom przestanie się opłacać finansowanie kampanii partii politycznych.

Inne rozwiązania – obawiam się – będą rozwiązaniami połowicznymi. Jak na razie jednak niewielkie postępy prac Komisji ds. Walki z Biurokratyzacją Gospodarki sprawiają, że się na to nie zanosz. Długo jeszcze nasze życie polityczne wstrząsane będzie „grabkopodobnymi” aferami.

Krzysztof Brzechczyn



Są w życiu człowieka momenty, gdy, nie patrząc na wszelkie trudy i znoje wkładane w dążenie do pozytywnego wyróżnienia się, należałoby zaiste wygodnie się rozsiąść, zapalić dobre cygaro i popijając zacny trunek po prostu cieszyć się smakiem chwili. Oto jeden z takich momentów, przyjaciele.

W 30 lat po inauguracji Wielkiego Społeczeństwa Lyndona Johnsona, w 25 lat po Woodstock, w 20 lat po ustąpieniu Richarda Nixona i w 2 lata po zdobyciu przez demokratów kontroli nad Białym Domem i nad obiema izbami Kongresu współczesny liberalizm – wyczerpany i pogrążony w zamęcie – znajduje się w odwrocie. Ronald Reagan w 30 lat po błyskotliwym wyłożeniu przez niego konserwatywnych ideałów w kontekście kampanii z 1964 roku, powiedział mi: „teraz, gdy wycofałem się z czynnej polityki, nie mam nic przeciwko temu, aby to pan stał się głosem numer jeden konserwatyzmu w naszym kraju”. A strach liberałów jest wyczuwalny.

Obiekt Ataków Numer Jeden

No i zaczęły się zaciekłe napaści na mnie. „To kabotyn, pozer i narwaniec” – napisał pewien mądrała. „Główny propagandysta na rzecz rewolucji” – orzekł inny. „Samolubny, handlujący nienawiścią łgarz” – pomstował pewien pisarz. „Pokątny handlarz nienawiści” – powiedział inny. „Ideologia Rusha Limbaugha czyni z niego politycznego dinozaura, umieszczając go na liście gatunków zagrożonych” – pisał pewien krytyk. „Sami oceńcie, kim jest ten zakuty łeb, Rush Limbaugh” – powiedział inny.

Atakowano z każdego zakątka liberalizmu: z Białego Domu i z „Washington Post”, z „New York Times’a” i „New Yorkera”, z „Nation” i „New Republic”, z magazynu „Time” i z „Los Angeles Times’a”, z C-Span i CNN, z „US News & World Report” i z „USA Today”, z Narodowego Radia Publicznego, Narodowej Organizacji na rzecz Kobiet i Narodowego Stowarzyszenia Oświatowego (wielu napastników pomijam, ale macie jakiś obraz sytuacji). Jak wynikało z przesłania bazy danych dla mediów, w ciągu miesiąca po czerwcowym ataku na mnie ze strony prezydenta Clintona, wspomniano mnie w 1450 relacjach, nie wyłączając „South China Morning Post” i Agencji France Presse.

Liberałowie w praktyce podnieśli mnie do rzędu czołowej osobistości politycznej. Do rangi Obiektu Ataków Numer Jeden. Jest to rola, o jakiej nigdy nie marzyłem. Moim celem było zawsze prowadzenie najliczniej słuchanych programów radiowych i telewizyjnych w historii i inkasowanie w zamian „zdzierzczych” stawek za ogłoszenia. Tak się jednak składa,

! Dlaczego liberałowie się mnie boją?

że jestem nie tylko artystą, lecz również skutecznie przekazuję zespół poglądów, które budzą przerażenie w sercach najmocniej nawet okopanych liberałów, wstrząsając nimi do głębi.

Nasuwa się interesujące pytanie: dlaczego? Dlaczego liberałowie się mnie boją? Nie jestem wybitnym członkiem Kongresu. Nie ubiegam się o prezydenturę. Nie sprawuję kontroli nad miliardami dolarów z podatków. Nie mogę ustanawiać żadnej polityki, prawa czy przepisu, które miałyby wpływ na zachowanie się choćby jednego amerykańskiego obywatela. Skąd więc ten wysoki poziom emocji u liberałów? Wydaje mi się, że temat ten kwalifikowałby się do zbadania przez przedstawicieli głównego nurtu mediów. Ich nastawienie nie dopuściło jednak do solidnego przeanalizowania przez nich owego fenomenu. Znow więc muszę wykonać ich robotę za nich.

Po pierwsze – liberałowie boją się mnie dlatego, że stwarzam zagrożenie dla kontroli sprawowanej przez nich w dziedzinie debaty publicznej.

Oto fakty: 20 mln ludzi słucha co tydzień mojego programu radiowego z 659 stacji w całym kraju na falach krótkich i z Radia Sił Zbrojnych w całym świecie, podczas gdy dalszych kilka milionów ogląda mój program telewizyjny ze 250 stacji w całym kraju. Jestem na antenie przez 17,5 godzin tygodniowo. Dodajcie do tego 6 mln sprzedanych egzemplarzy moich dwóch książek, *The Way Things Ought To Be* oraz *See, I Told You So*, a także 475 tys. prenumeratorów miesięcznika „The Limbaugh Letter” już po 2 latach działalności.

To, co robię w ramach tego raczej szerokiego obszaru twórczości (mówiąc żargonem nieco papierowym), stanowi dla mędrków twardy orzech do zgryzienia. Mędrzy z mediów nie stawiali dotąd czoła konserwatystom, będącemu jednocześnie komentatorem i dostarczycielem rozrywki. Konserwatystyście parającemu się satyrą, stanowiącą do tej pory grunt najbardziej liberalny ze wszystkich. Konserwatystyście wyśmiewającemu święte krowy liberałów i czyniącym to z przyjemnością, optymizmem i otuchą. Konserwatystyście wyrażającemu swoje najgłębsze przekonania bez zakłopotania, żenady i samousprawiedliwień oraz prezentującemu na antenie najlepsze przeboje muzyczne.

W jaki sposób przyciągam tak wielu ludzi? Po pierwsze, odnoszę się do słuchaczy z ogromnym szacunkiem. Jestem absolutnie przekonany, że w kraju naszym żyje olbrzymia liczba inteligentnych i bezinteresownych obywateli, żłakniomych informacji oraz inspiracji. Są to ludzie przestrzegający reguł gry, którzy ciężko pracują na utrzymanie rodzin i dla umocnienia swoich społeczności, pragnąc czynić to, co słuszne i w trakcie tego entuzjastycznie cieszyć się życiem. Szczycą się oni tym, że zalicza się ich do ludzi wierzących w Boga, amerykańskie ideały, moralność, indywidualne wyróżnianie się i osobistą odpowiedzialność.

Są to ludzie, którym nieustannie się powiada: „Stanowicie problem. Nie macie w sobie dość współczucia, nie płacicie wystarczających podatków, wasze sobkostwo i wasza chciwość (tak określa się zawsze chęć otaczania troską swojej rodziny i poprawienia swojej doli w życiu) niszczą kraj”. To ludzie, których najgłębsze przekonania byłyby lekceważone, wyszydzane i wyśmiewane w głównym nurcie mediów. Ja się z nich nie wyśmiewam. Potwierdzam ich instynktowne odczucia, czerpiąc dowody bezpośrednio z łamów gazet i z telewizyjnych programów informacyjnych. Wyjaśniam,

co się aktualnie dzieje w ustawodawstwie. Cytuję to, co faktycznie mówią nasi szacowni członkowie Kongresu i przedstawiciele nurtu mediów. Szczegółowo przytaczam i analizuję relacje z serwisów informacyjnych (z których wiele zaczyna odgrywać ogólnokrajową rolę dopiero w moich programach), wykazując niedorzeczność polityki liberałów.

„Jestem na czasie”

Przyciągnąłem i zatrzymałem przy sobie słuchaczy nie dlatego, żebym był gadatliwym samochwałą, rasistą, seksistą czy handlarzem nienawiści. Ci, którzy rzucają takie oskarżenia, uwłaczają inteligencji narodu amerykańskiego. Gdybym był naprawdę taki, jak to utrzymują moi krytycy, już dawno popadłbym w zasłużone zapomnienie. Moi słuchacze wiedzą, że stale oręduję za bezwzględny indywidualizmem. Jedno z najczęściej słyszalnych w moich programach zdań brzmi: „Pragnę wielkiej Ameryki, złożonej z wielkich indywidualności, Ameryki, w której każdy bez skrupowania może być najlepszym, czym być może”. Filozofia ta doprowadza liberałów do szału, ponieważ wiedzą oni, że kraj złożony z jednostek silnych i polegających na sobie w ogóle ich nie potrzebuje.

Moim instrumentem działania nie jest wcale prawicowa demagogia, jak mi często zarzucają. Moimi narzędziami są dowody, dane i statystyka. Analiza gospodarcza. Krytyka kulturalna. Komentarz polityczny. Ja udowadniam. Ilustruję. Dostarczam słuchaczom informacji, których nie chce rozpowszechniać główny nurt mediów. A czynię to w formie rozrywki i zabawy. Dlatego mówię zawsze, że z moimi poglądami i komentarzami nie trzeba czekać na właściwy moment. Ja **jestem** na czasie. A wolny rynek potwierdził moje racje.

Wbrew tym, którzy uwłaczają mi, utrzymując jakoby moje audytorium składało się z tępych umysłowo robotów, oczekujących, bym wydawał im komendy, prawda wygląda tak, że ja tylko wypowiadam opinie i analizy potwierdzające to, co słuchacze i tak już wiedzą. Tysiące słuchaczy mówiło mi na antenie, w faksach, w listach, w poczcie informatycznej, że się z nimi zgadzam. Nareszcie, powiadają, ktoś w mediach mówi głośno to, co oni cały czas myśleli.

Ów namacalny dowód na to, że ogromna liczba Amerykanów odrzucała prywatnie to, co głosi liberalizm, stanowi prawdziwe zagrożenie dla trwającej od dziesięcioleci dominacji liberałów w amerykańskich instytucjach. Konserwatyści – przez całe pokolenie wykluczeni z debaty w dziedzinie idei – zaczynają w końcu rozumieć oszałamiającą prawdę, że nie są osamotnieni. Marginalizacja idei konserwatywnych – święcąca przez 30 lat sukcesy taktyka liberałów – przegrała. Większość Amerykanów jest w rzeczywistości konserwatyistami. Może nie zawsze zgodnie z tym oni głosują, lecz za to zgodnie z tym prowadzą życie. Fakt ten udawało się przed społeczeństwem ukrywać. Aż do tej pory.

Nie lekceważcie go

Oprócz zwykłej zawiści, spowodowanej wtargnięciem na ich terytorium, zaczęło w końcu budzić się u liberałów zrozumienie politycznego i ekonomicznego znaczenia całego fenomenu. Jedną z pierwszych oznak paniki pojawiła się w lutym tego roku w dziale poglądów „Washington Post”. W tekście *Dzień wyżej wymienionego* David Remnick wypowiedział opinie: „Cały niemal szum z powodu Limbaucha nie wychodzi poza łamy działów rozrywki. Niewiele za to poja-

wia się sugestii w prasie, że jest on przede wszystkim wyrafinowanym propagandystą, ucieleśniającym politykę małostkowości i zawiści. Wpływy Limbaucha są trudne do zmierzenia. Trzeba jednak uważać... lewicowe media i »tłum pięknoduchów«, jak mówi Limbaugh, lekceważą go na własne ryzyko”.

Nerwową tę śpiewkę podchwycił prezydent Clinton 3 maja w Atlancie, pośród spadającej liczby głosów i kłopotliwych nagłówków, sięgających zakresu tematów od Whitewater do Pauli Jones. „Musicie tu, na wiejskim Południu, zrozumieć, co robią z wami Rush Limbaugh i wszystkie te prawicowe, skrajne media, które po prostu codziennie sączą w nas jad, nie napotykając na żadne przeciwdziałanie; potrzebujemy dopiero wyborców, by wydobyć fakty na jaw”, twierdził prezydent w CNN. W parę tygodni później prezydent znów wkroczył na ścieżkę wojenną, udzielając na pokładzie samolotu wojskowego nr 1 wywiadu dla stacji radiowej KMOX z St. Louis: „Republikanie i skrajna prawica w tym kraju mają własne sieci mediów. My nie mamy niczego w tym rodzaju. Oni mają nadzwyczaj dobrze zorganizowane polityczne grupy działania, którym nie potrafimy dorównać, i mają aparat zbierania funduszy dla Partii Republikańskiej, który umocnił się dzięki temu, że w ciągu ostatnich 20 lat tylko przez 4 lata Biały Dom nie należał do nich”. (Odnotujmy tu, że 36 godzin wcześniej Bill Clinton wypowiedział się pod adresem kogoś lub zebrał dla demokratów fundusze w wysokości 3,5 mln \$. Ale to tylko dygresja.)

„Myślę, że za dużo jest cynizmu i za dużo nietolerancji... spójrzcie, jak wiele rozgłośni radiowych prowadzących programy *talk* stale i niestrudzenie wybija rytm negacji i cynizmu”, ciągnął dalej prezydent, tłumacząc, że właśnie postanowił „być agresywny”. Następnie dodał: „Potem, jak się dzisiaj pożegnamy w radio, Rush Limbaugh będzie miał 3 godziny na to, by mówić, co zechce, a ja nie będę mieć żadnej możliwości odpowiedzenia mu i nie ma żadnego wykrywacza prawdy. Nie uda się wam później powiedzieć [co] było prawdą, a co nie”.

Mądrale, nie bardzo wiedzieli, co z tym zrobić. Owszem, zgadzają się oni co do tego, że Rush Limbaugh to skaza na politycznym pejzażu Ameryki. Wystąpienie prezydenta było jednak czymś zdumiewającym. „New York Times” zareagował z niesmakiem na swojej stronie tytułowej: „Pojękiwanie i publiczne uzalanie się nad sobą nie licują z rangą urzędu prezydenckiego”. Mary McGrony z „Washington Post” nie pozostała w tyle: „Jego uwagi ociekały od załóż nad samym sobą... Uzalanie się nad sobą samym to młodsza siostra wyczerpania i wszędzie idzie w ślad za nim. Clinton powinien poczytać, co mówiono o naszym najbardziej szanowanym prezydencie, Abrahamie Lincolnie, i przestać pojękiwać”. Nawet londyński „Sunday Telegraph” nie mógł powstrzymać się od komentarza: „Wdawanie się w podwórkową bójkę z gospodarzami prawicowych programów *talk show* w rodzaju Rusha Limbaucha nie przyczynia się zbyt do powagi Ovalnego Gabinetu”.

Panowanie błędu?

Prezydencka tyrada w rozgłośni KMOX miała miejsce 24 czerwca. Zaś 28 czerwca sfera psów gończych z lewicowych mediów wydała „raport”, zatytułowany *Panowanie błędu* Limbaucha. „Od AIDS do ozonu, od Whitewater do Biblii, Limbaugh wydaje się być gotów zwodzić i oszukiwać na każdy praktycznie temat”, czytamy w oświadczeniu wydanym przez opatrzoną mylącą nazwą grupę „Rzetelność

i Dokładność Informowania" (Fairness and Accuracy in Reporting – FAIR) i podjętym przez Associated Press.

Według FAIR, jestem winien 43 przypadków „niedbalstwa, ignorancji lub zmyślenia”. Niedawno w mojej obronie stanął „National Review”: „Wziąwszy pod uwagę, że pan Limbaugh zaliczył ponad 4 tys. godzin na antenie, 43 błędy byłyby wynikiem wcale niezłym: jak w porównaniu z tym wygląda wynik FAIR?” Przedstawiciele głównego nurtu mediów, szukający sposobu na to, by usprawiedliwić swoją wrogość do mnie oraz niewolnicze oddanie dla sprawy, jeżeli nie dla osoby Billa Clintona, nie mogli jednak oprzeć się kuszeniu ze strony FAIR.

Pewien zarzut szerzył się lotem błyskawicy, ponieważ wydawał się dobrze ilustrować powyższą tezę, jakoby wymyślał historie, podchodząc do swoich źródeł informacji w sposób kłamliwy i pozbawiony hamulców. W styczniu tego roku przytoczyłem w swoim programie radiowym informację, że w prywatnej szkole, do której uczęszcza Chelsea Clinton, polecono ósmoklasistom napisać rozprawę na temat „Dlaczego czuję się winny będąc białym?” Jako źródło informacji zacytowałem CBS. W raporcie FAIR sugerowano, że wszystko to wyssałem sobie z palca. W ogłoszeniu zamieszczonym na stronie tytułowej „New York Timesa” FAIR utrzymywał, że był to przykład „bezpodstawnego twierdzenia”. Ellen Hume używała sobie w „Wiarygodnych Źródłach” CBS: „Nie szanuje kogoś lub najwyraźniej opowiada bajki, utrzymując, jakoby opierał się na faktach. Od czasu do czasu [Limbaugh] robi coś takiego, jak powiedzenie, że Szkoła Przyjaciół Sidwella miała jakiś test dla Chelsea – że Chelsea Clinton miała pisać jakiś esej na temat tego, dlaczego nie lubi być białą czy też dlaczego wstydzi się, że jest biała – a następnie cytuje źródła w rodzaju Wiadomości CBS. To po prostu nieprawda. Nic z tego nie było prawdą. Skąd więc to się bierze... i gdzie przebiega u Ciebie granica między pomyłkami, które wszyscy popełniamy, a świadomym zniekształcaniem faktów w celu wciskania ludziom mitów, które ci chcieliby mieć za prawdziwe?”

Jak wyjaśniłem to w artykule na łamach „USA Today”, sprawy tej nie wymyśliłem. Informowano o niej 6 czerwca 1994 roku w porannym serwisie źródeł CBS – prowadzonym przez sieć radiową CBS serwisie telegraficznym dla gospodarzy programów radiowych typu *talk show*. Na informację pochodzącą z telegraficznego źródła CBS zwróciła moja uwagę pewna stacja radiowa z Ohio. Informację tę opublikowały już magazyny „Playboy” i „Heterodoxy” i w istocie to one były źródłami dla telegraficznej relacji CBS. Sidwell zaprzeczył później, jakoby incydent miał miejsce, i przyjmując do wiadomości jego słowa powiedziałem to w moim programie radiowym. Nie zgodziłem się jednak z sugestią FAIR, jakoby sprawę sfabrykował lub kłamał na temat CBS jako źródła informacji.

W następnym tygodniu w „Wiarygodnych Źródłach” Ellen Hume przyznała się do błędu: „Przez szacunek dla Rusha chciałem coś wyjaśnić, a mianowicie, że istniała informacja, podana przez niego w radio, według której Chelsea Clinton miała napisać jakiś esej na temat tego, jak nienawidzi być białą. Informacja ta nie była prawdziwa. Rush, o ile wiem, nigdy nie przeprosił za jej nadanie w eter, powiedział jednak, że zaczerpnął ją z CBS. **Okazuje się, że winowajcą jest tu CBS, a nie Rush.** To w ich serwisie informacyjnym sprawa ta została wyciągnięta na wierzch, tak że, Rush, tym razem ci się upiekło” [podkreślenie moje – R.L.].

Media cały czas popełniają omyłki na mój temat. Pewien publicysta utrzymywał, jakoby nazwał Hillary Rodham Clinton feminazistką. Nie robię takich rzeczy. Inny powiedział, że winę za spadek kursu dolara przypisałem opiece społecznej i feminazistkom. Nigdy tego nie zrobiłem. Jeszcze inny mądrała utrzymywał, jakoby mój program radiowy był nadawany przez ponad 1400 stacji. To nieuniknione, ale jeszcze tak nie jest. Nie da się zaprzeczyć, że moi krytycy – od prezydenta po jego lewicowych sojuszników i zwolenników politycznych w głównym nurcie mediów – są bardzo skorzy do tego, by to, co mówię, oceniać jako dziwaczne, zmyślane i oszukańcze, ponieważ jestem skuteczny, a ich ogarnia panika z powodu mojej zdolności rzucania wyzwania aktualnym warunkom debaty politycznej.

Drugim powodem, dla którego liberałowie się mnie boją, jest to, że reprezentuję nasilające się zjawisko odrzucania elit przez amerykańskie warstwy średnie. Amerykanie są coraz mocniej przekonani, że byli oszukiwani przez tzw. profesjonalistów i ekspertów – zwłaszcza, choć nie wyłącznie, w mediach. Patrząc na siebie jak na jakąś świętość, ważną sama dla siebie, elita mediów nabrała iście religijnej żarliwości wobec uprawianego przez siebie zajęcia, traktowanego przez nią wręcz jako „misja”. Wskazywałem na to już w mojej pierwszej książce, lecz sytuacja zrobiła się jeszcze gorsza, a zarazem bardziej przejrzysta. Prowadząc kampanię ogłoszeniową na rzecz pozyskania nowych prenumeratorów, „Washington Post” stwierdza bez ogródek: „Jeśli tego nie kupicie, to się wam nie powiedzie” (ang. „If you don't get it, you don't get it”). Na szczęście większość Amerykanów tego nie kupuje. W tym czasie „New York Times Magazine” reklamuje się jako „Coś, dla czego stworzono niedzielę”, co mogłoby ubawić Stwórcę, który, jak przypuszczam, dokonując aktu stworzenia, miał na myśli coś zupełnie innego. Tak to jednak wygląda. Mamy tu do czynienia z arogancją siły. I dlatego to tak wielu ludzi spogląda gdzie indziej, coraz częściej ku mnie.

Oczywiście Amerykanie nie odrzucają po prostu elit jako takich. Chodzi tu o elity medyczne, elity socjologiczne, elity edukacyjne, elity prawne, elity naukowe – listę można ciągnąć coraz dalej i dalej – i o idee, jakie to bractwo krzewi w mediach. Wmawiano Amerykanom, że pod względem opieki zdrowotnej pozostajemy w tyle za resztą uprzemysłowionego świata; wcale tak nie jest. Mówiono im, że narkotyki są bezpieczne; wcale tak nie jest. Mówiono, że wolny seks wyzwala; wcale tak nie jest. Mówiono, że masowe wydatki na opiekę społeczną pomogą ludziom stanąć na nogi; wcale nie pomogły. Mówiono, że bez interwencji rządu po stronie ekologicznych szajbusów czeka nas koniec świata; wcale tak się nie stanie. Mówiono, że ludzie religijni są dla kraju zagrożeniem; wcale nie są.

Zastępca redaktora naczelnego w pewnej regionalnej gazecie, nie dbając nawet o pozory dziennikarskiego obiektywizmu, posunął się do tego, że napisał: „Gardzę programem Rusha Limbaugh’a”. Większość nie jest tak otwarta, lecz ich robota śmierdzi wrogością do mnie i do moich słuchaczy. Raport FAIR jest interesujący w gruncie rzeczy właśnie dlatego, że jest w o wiele większym stopniu atakiem elity na moje podstawowe przekonania niż krytyką mojej dokładności. FAIR rozpoczął działalność w 1987 roku, zasilony pieniędzmi z Fundacji Nowego Świata, której prezesem w owym roku była ni mniej, ni więcej tylko Hillary Rodham Clinton. Jego zespół doradców ma w swoim składzie niektóre osoby

z kręgu najbardziej znanych amerykańskich lewicowców i feministek, od Eda Asnera po Głorię Steinem. Zadaniem FAIR jest demaskowanie prawicowych odchyleni w amerykańskich mediach. Naprawdę tak – wcale nie koloryzuję – spośród prawicowych odchyleni grupa ta zaatakowała nadawany przez ABC miniserial *Ameryka* za to, że jest zbyt surowy wobec komunistów.

Nabijanie w butelkę

Tymczasem FAIR sam ma na swoim koncie długą listę niedokładności. W 1988 roku FAIR wystąpił z zarzutem, jakoby pewien reporter z Teksasu usiłował popełnić samobójstwo, ponieważ jego gazeta („Beaumont Enterprise”) nie zgodziła się na wydrukowanie artykułu o odpadach toksycznych. Prawda wyglądała tak, że w gazecie tej zamieszczono cały szereg artykułów, które zdobyły nagrodę dziennikarską. Reporter zaś nie próbował się zabić, lecz przypadkowo zranił się z broni ręcznej.

W 1993 roku FAIR rozpowszechniał bajkę, jakoby zjawisko przemocy w rodzinie nasilało się w czasie niedzielnych rozgrywek superpucharowych, powodując przeciążenie rozmowami gorących linii telefonicznych oraz tłoczenie się w izbach nagłej pomocy żon bitych na miazgę przez ogarniętych futbolowym szaleństwem mężów. Temat ten podchwyciły media. Był tylko jeden szkopał: wszystko to miało się z prawdą. W szeroko chwalonym artykule z 31 stycznia 1993 roku reporter z „Washington Post”, Ken Ringle, zdemaskował prawdziwe oblicze sprawy, ukazując szczegółowo rolę FAIR w popełnionym oszustwie. Następnego dnia „San Francisco Examiner” doniósł: „Jeff Cohen, dyrektor wykonawczy FAIR, przyznał, że nie potrafi znaleźć żadnych konkretnych badań na poparcie twierdzeń jego grupy”.

Wszyscy przedstawiciele głównego nurtu mediów potraktowali napaść FAIR na mnie w sposób poważny, mimo że znano oczywistą tendencyjność i historię pomyłek tej grupy. Było to irytujące, ale nie dziwne. Odkąd bowiem FAIR zaczęło tyle liberalnych mitów elity powtarzać w charakterze faktów, wielu ludzi w głównym nurcie mediów nie potrafiło już odróżnić jednych od drugich. Weźmy dla przykładu sprawę opieki zdrowotnej. Nawiązując, co nie dziwi, do aktualnej debaty, FAIR zaatakował moje poglądy na temat opieki zdrowotnej, a jego zarzuty zostały szybko podjęte przez Associated Press. Cytują mnie następująco: „Jeżeli macie jakieś wątpliwości na temat stanu amerykańskiej opieki zdrowotnej, to po prostu porównajcie go ze stanem opieki zdrowotnej w innych krajach uprzemysłowionych”. FAIR replikował: „Zgodnie ze *Świątową księgą faktów za rok 1993* CIA, Stany Zjednoczone zajmują wśród krajów uprzemysłowionych 16 miejsce pod względem oczekiwanej długości życia i 21 pod względem przeżywalności niemowląt”.

Prawda wygląda tak, że to ja miałem rację. Agencja Associated Press dała się FAIR nabić w butelkę. Dowody na poparcie moich twierdzeń byłyby jednak dostępne na życzenie – w „The New Republic”. Elizabeth McCaughey, późniejsza członkini Manhattan Institute, w artykule *Bez wyjścia* ustosunkowała się wprost do tego mitu: „Na poparcie potrzeb programu zdrowotnego administracji Clintona, administracja [Clintona] przytacza często dwa fakty statystyczne – stosunkowo wysoki wskaźnik śmiertelności niemowląt w Ameryce oraz rejestrowaną tu niską wartość spodziewanej długości życia. Fakty te nie mają jednak wiele wspólnego z jakością amerykańskiej opieki medycznej. Obie statystyki odzwierciedlają bowiem również takie zjawiska, jak: epidemie wśród

odznaczających się niską wagą urodzeniową dzieci, rodzonych przez nastolatki i narkomanki, oraz duża liczba zabójstw w miastach amerykańskich i zgonów, związanych z używaniem narkotyków. W rzeczywistości jest tak, że jeżeli poważnie chorujesz, to najlepiej być znajdował się w Stanach Zjednoczonych. Wśród wszystkich krajów uprzemysłowionych Stany Zjednoczone mają najwyższe wskaźniki uleczalności raka żołądka, szyjki macicy oraz drugi co do wysokości wskaźnik uleczalności raka piersi i nikomu nie ustępują w zakresie leczenia chorób serca.

Jak wskazuję niestrudzenie w swoich programach, tym, o co naprawdę chodzi w debacie na temat opieki zdrowotnej, jest wolność osobista. Na użytek moich słuchaczy przebadalem faktyczną zawartość (oryginalne podejście, jak mi się zdaje) planu opieki zdrowotnej Clinton i jego różnych wcieleń demokratycznych. Pokazałem, że w planie tym przewiduje się zakazy, grzywny i sankcje karne, z karą więzienia łącznie. Prześledziłem liczby. Wyszczególniłem spodziewane efekty ekonomiczne projektu w odniesieniu do drobnej przedsiębiorczości. Przebadalem historię państwowej opieki zdrowotnej w świecie. Zbadałem historię programów rządowych w Stanach Zjednoczonych. Czyż nie były to informacje potrzebne obywatelom do podjęcia świadomych decyzji? Główny nurt mediów był jednak zainteresowany tylko orędowaniem na rzecz planu Clintona i „udzieleniem Clintonowi kredytu zaufania” dla „podniesienia kwestii”.

Chętnie poddaję się krytycznemu badaniu. Z przyjemnością bronię swoich opinii, analiz i dowodów, jakie przytaczam dla ich poparcia. Twierdzą jednak, że polityka obecnej administracji, nie licząc programów takich jak moje, nie jest poddawana tego rodzaju, adresowanemu do mnie, regularnemu badaniu. A powinno być oczywiście na odwrót. Ja nie mogę podnosić Wam podatków. Nie mogę wydawać przepisów likwidujących Wasze interesy. Nie mogę w żaden sposób wpływać na Wasze zachowania, kształtować je czy formować. Wcale tego nie pragnę. Staram się tylko przekonywać. Możecie mnie wyłączyć, możecie mnie zignorować. Nie możecie jednak nastawić sobie innej administracji ani wyłączyć tej, którą macie. To ich pomysły, ich twierdzenia i ich polityka domagają się analizy i zbadania.

Przejdźmy dalej do kwestii prezerwatyw. „New York Times” sprzedał FAIR miejsce na ogłoszenia na swojej stronie redakcyjnej, by ten mógł wystąpić z następującym oskarżeniem: „Wśród bezpodstawnych twierdzeń wypowiedzianych przez Rusha na ważne publiczne tematy znajduje się twierdzenie, jakoby... osoby używające prezerwatyw ryzykowały zachorowanie na AIDS w stosunku jeden do pięciu”. Wypacza się w ten sposób nawet treść własnego studium FAIR, które tak cytuje moją wypowiedź: „Najgorsze z tego wszystkiego jest kłamstwo, jakoby prezerwatywy naprawdę chroniły przed AIDS. Wskaźnik zawadności prezerwatyw może sięgać nawet 20%. Czy wsadzilibyście do samolotu swoje dzieci – gdyby jeden na pięciu pasażerów miał być zabity podczas lotu? Taka zaś jest statystyka dla prezerwatyw, kochani”. Różni się to oczywiście w wyraźny sposób od powiedzenia, że osoby używające prezerwatyw ryzykują zachorowanie na AIDS w stosunku jeden do pięciu. Co więcej, choć liberałowie wzdrgają się przed przyznaniem tego że, mam rację w sprawie nieskuteczności prezerwatyw. W studium opracowanym w 1993 roku przez Susan C. Weller dla wydziału medycyny uniwersytetu stanowego w Teksasie stwierdzono, że „choć badania w zakresie antykoncepcji

wskazują, iż prezerwatywy są skuteczne w 87% jako środek zapobiegający ciąży, wyniki badań nad przenoszeniem się HIV wskazują, że prezerwatywy mogą redukować ryzyko zarażenia się HIV o ok. 69%", z dodaniem, iż „skuteczność prezerwatyw może być dużo niższa niż się powszechnie zakłada”. W konkluzji studium pani Weller stwierdza: „Jest rzeczą szkodliwą popieranie opinii, jakoby prezerwatywy zapobiegały przenoszeniu się HIV drogą płciową”.

Fikcja ideologiczna

Weźmy też pod uwagę sprawy kobiet. „Los Angeles Times” nie mógł oprzeć się pokusie zacytowania ataku FAIR na moje poglądy na temat współczesnego feminizmu. Przytaczają tam moją wypowiedź: „Kobiety wcale nieźle radziły sobie w tym kraju przed pojawieniem się feminizmu”. Odpowiedź FAIR brzmi: „Przed feminizmem kobiety nie mogły nawet głosować”. W rzeczywistości cele i taktyka walującego feminizmu niewiele przypominają ruch sufrażystek. Prawdziwa reakcja na walujący feminizm jest w naszym kraju negatywna, co stanowi jeszcze jedną oznakę zwycięstwa. Tak np. największą organizacją kobiecą w kraju nie jest wcale Narodowa Organizacja na Rzecz Kobiet, licząca wszystkiego 250 tys. członkiń. Największą organizację stanowią Kobiety Zaangażowane na Rzecz Ameryki, konserwatywne ugrupowanie z ponad 600 tys. członkiń. Co się zaś tyczy kobiet nastawionych liberalnie, to i je nachodzi refleksja. Publicystka Marilyn Gardner tak pisała w „Christian Science Monitor” (nie bardzo konserwatywny szmatławiec): „Każda rewolucja ma swoją stronę przegrywającą. W przypadku rewolucji seksualnej przybywa ciągle dowodów na to, iż rzekomi zwycięzcy – kobiety wyzwolone – okazują się w pewnych wypadkach przegranymi. Zamiast wolności i równości, które w swoim mniemaniu zdobyły, aż nazbyt wiele z nich znalazło się w potrzasku z powodu nieplanowanej ciąży, aborcji, samotnego macierzyństwa, zarażenia się lub bezpłodności”. Dokładnie tak. Z Głorią Steinem i Susan Faludi w radzie FAIR nie spodziewajcie się jednak w najbliższym czasie ustępstw w tych kwestiach.

Elity o wiele za często dokonywały odrzucenia faktów na rzecz ideologicznej fikcji. Coraz więcej Amerykanów zaczyna otwierać oczy na tę rzeczywistość, spoglądając ku mnie w poszukiwaniu drugiego poglądu. Przedstawiam im drugą stronę medalu, opartą bardziej na zdrowym rozsądku i tradycyjnej moralności niż na akademickich hipotezach. I mam rację (jak lubię mawiać) przez „97,9 % czasu”. Będąc w radio przez 6 lat i ponad 4 tys. godzin, popełniałem oczywiście po drodze pomyłki. Robiłem jednak co mogłem, by z nawiązką naprawić każdy taki błąd, gdy tylko go wykryłem. Oto przykład tego, co FAIR traktuje jako „zmyślenie”. W jednej z moich książek przypisałem Jamesowi Madisonowi wypowiedź, której ten nigdy nie wygłosił. (Ludzie błędnie przypisywali ów cytat Madisonowi już od czasu wydanej w 1939 r. książki Harolda K. Lane’a *Liberty, Cry, Liberty*. To pomyłka – nie kłamstwo. Muszę też publicznie obiecać obcięcie podatku średniej klasy, który prywatnie odrzucam jako intelektualnie nieuczciwy i którego nie zamierzam utrzymywać.

Po trzecie – liberałowie boją się mnie dlatego, że sankcjonuję to, co myśli milcząca większość. Liberałowie kołyszają Amerykanów do snu obietnicami, że rząd zatroszczy się o wszystko, jeśli będą oni bulić forszę. Ja natomiast wzywam ludzi do przebudzenia. Już miliony ludzi poważnie zastanawiają się nad tym, czy mądrze jest dawać rządowi federalnemu 1,5 bln \$ rocznie w sytuacji, gdy nawet poczta

nie potrafi na czas doręczać przesyłek i posuwa się do wyrzucania tego, czego nie chce się jej doręczyć. Przytaczam wiarygodne informacje, statystyki i charakterystyczne szczegóły z rejestru danych, utwierdzając wielu Amerykanów w ich wątpliwościach co do „efektywności” rządu. Jest to coś, co wprawia w szal liberałów, przywiązanych do idei, że rząd jest dobry, a im większy, tym lepszy.

Publicysta „New York Timesa”, Anthony Lewis, w demaskatorskim artykule lipcowym, zatytułowanym *Gdzie władza kłamie*, tłumaczył, że „władza nie spoczywa już tylko w Białym Domu czy w rządzie”, co wydaje się być jego największą zmartówką. Za to „ci, którzy usiłują zniszczyć wiarę w amerykański system polityczny, posiadają obecnie znaczną władzę, władzę wymagającą uwagi”. Z zapartym tchem Lewis przekonywał, że „sztuczki Rusha Limbaugh’a” polegają na „obrzucaniu błotem rządu i każdego, kto uważa, że społeczeństwo potrzebuje rządu. Swoim pełnym nienawiści gadaniem na temat Prezydenta, pani Clinton i innych osób urzędowych naprawdę próbuje on zniszczyć społeczną wiarę w nasze instytucje”.

Jest to zarzut niedorzeczny. Jego autor przyznaje, że nigdy nie słucha mojego programu – „to przyjemność, której sobie odmawiam”, twierdzi. Każdy z moich słuchaczy powie zaś Wam, że bronię instytucji i tradycji, które uczyniły Amerykę wielką. Może jednak pan Lewis powinien sięgnąć wstecz i przeczytać ponownie niektóre ze swoich starych artykułów, by znaleźć klucz do rozwiązania zagadki, dlaczego dzisiejszy rząd tak bardzo irytuje Amerykanów. Pisał on w 1992 roku: „Można spodziewać się po politykach przesady. Ale wymyślać kłamstwa? Myślę, że tego rodzaju polityka przywiodła nasz kraj ku niewierze w jego system polityczny”. Odnosił on to, w sposób nieprzekonujący, do George’a Busha, ale można wybaczyć czytelnikowi, jeżeli przyjdzie mu na myśl nasz obecny prezydent. A tak właśnie jest. Urzędowe oszustwa i udawanie są odpowiedzialne za narastanie wśród Amerykanów gniewu i frustracji w stosunku do rządu. Ja tylko rzucam na to wszystko światło prawdy.

Lewis utrzymuje: „Rzeczą doprawdy szczególnie ważną jest obserwowanie i pociąganie do odpowiedzialności tych, którzy chcieliby władzy bez odpowiedzialności”. Lewis był w błędzie, odnosząc to do mnie; sentencja ta trafnie jednak opisuje panią Clinton, która nie wybrana i nie ponosząca odpowiedzialności, chciała wprowadzić nowe porządki w siódmej części amerykańskiej gospodarki.

Blagierstwo Clintona

Liberałów nie irytuje to, że się mylę; są oni rozeźleni, ponieważ mam rację. Codziennie demaskuję prawdziwy program administracji Clintona: „Jak by tu zrobić ludzi w konia?” Pytam: „Gdzie jest dusza Billa Clintona?” Wskazuje, że pod rządami Clintona musi być tak, że szkaluje się osiągnięcia, a bogaty jest karany. Ostrzegam ludzi, że liberałowie popierają programy rządowe, ponieważ pieniądze rządu stanowią podstawę ich politycznej potęgi. Amerykanie tego i tak się domyślają, mają oni jednak trudności z rozpoznawaniem faktów wśród zasłony dymnej, jaką roztacza wokół główny nurt mediów. W nieubłaganej pogoni za prawdą przedzieram się przez poranne nagłówki, przez kilometry taśm wideo, przez książki, artykuły i przemówienia. Częściej potwierdzam niż rozwiewam żywione przez ludzi obawy – administracja Clintona uprawia blagierstwo na potęgę. Uprawomocniam odczucia ludzi.

Nasuwa się oczywiście pytanie, co ludzie poczną z prawdą, gdy ją posiadą. Liberałowie są absolutnie przekonani, że

zawsze mówię ludziom, by telefonowali do Kongresu z zażaleniami z powodu tej czy innej sprawy (kolejny chybiony zarzut ze strony FAIR). Raz tak zrobiłem po to tylko, by dowieść nastawionemu sceptycznie reporterowi, co się stanie, gdy faktycznie tak uczynię. Telefony spowodowały zablokowanie centrali na wzgórzu kapitolńskim. Prawda wygląda tak, że nie muszę przynaglać ludzi do tego, by dzwonili do Kongresu. Są to ludzie myślący, poinformowani, poważni. Dlatego mnie słuchają. To oni decydują, co począć z prawdą. Niektórzy, jestem pewien, telefonują do Kongresu. Inni prenumerują konserwatywne czasopisma i czytają klasyczne książki konserwatywne, uczą swoje dzieci w domu, piszą listy do redakcji, kandydują do rad szkolnych i zgłaszają się ochotniczo do pracy podczas lokalnych kampanii politycznych lub na rzecz lokalnej dobroczynności. Możliwości działania i zaangażowania są tak nieograniczone, jak tylko stworzą je dobrze poinformowani, optymistycznie nastawieni obywatele.

„Nie pojmuję, dlaczego ktokolwiek bierze Rusha Limbaugh poważnie?” zapytywał Michael Gartner, publicysta z „USA Today”, przechodząc do napaści na mnie za produkowanie „mieszanki półprawd i nieprawdy”. Nie ma niczego dziwnego w tym, że ów były prezes NBC jest tak sfrustrowany. W końcu jest on patentowanym członkiem elity mediów, wywalonym z NBC po tym, jak w programie *Zmiana daty* zainscenizowano wybuch ciężarówki General Motors i po tym, jak w doniesieniu „Nocnych Wiadomości” na temat szkód środowiskowych mówiono o masie „śniętych” ryb, które okazały się wcale nie śnięte. Odpowiedź na jego pytanie jest prosta. Ludzie traktują mnie poważnie, ponieważ działam skutecznie. Sławię to, jak Ameryka staje się wielką dzięki dokonaniom zwykłych ludzi – w przeciwieństwie do mediów, szerzących błędną tezę, jakoby pomyślność kraju wpływała z programów rządowych. Tym, czemu daję wyraz, jest wiara w naród amerykański, a nie pogarda dla niego.

I w końcu, po czwarte – liberałowie boją się mnie, ponieważ nie ubiegam się o żadne stanowisko publiczne i dlatego jestem niepodatny na polityczne napaści liberałów. „Demagodzy... wypalają się, ponieważ ludzie nużą się ich działaniami albo dlatego, że zmieniają się warunki polityczne, albo dlatego, że stają w obliczu prawdziwego wyzwania politycznego” – podkreślał Alexander Cockburn z „Nation” na łamach lipcowego wydania „Los Angeles Times”. „Nie ostał się już nikt, kto toczyłby polityczne boje z Limbaughem w języku, który mogliby rozumieć i lubić zwykli ludzie”. W tym samym miesiącu lewicowy publicysta, Lars-Erik Nelson, lamentował w „Washington Post”: „Nie ma żadnego lewicowego odpowiednika Rusha Limbaugh’a”.

Liberałowie traktują mnie tak, jak gdybym był kandydatem republikańców na prezydenta. Mnie jednak nie interesuje ubieganie się o urząd publiczny. Dlaczego umiałbym to robić? Realizuję swój program tam, gdzie jestem, i chodzi w nim o coś bardzo prostego: o prawdę. Liberałowie, którzy tak długo dominowali w instytucjach państwowych i tak usilnie starali się zdominować sprawy polityczne w kraju, przejawiają na koniec bezzadanie i zagubienie. Wiedzą, jak stawiać czoła wyzwaniom natury politycznej – gabinetom wojennym, wycieczkom autobusowym, kierowanej bezpośrednio pocztą, artykułom redakcyjnym, protestom. Nie wiedzą jednak, jak stawiać czoła wyzwaniu o charakterze kulturalnym – eksplozji radia *talk* (rozmawiającego ze słuchaczami) – z wyjątkiem prób wyeliminowania tego wyzwania na

drodze regulacji ustawowych (jak w podjętej przez nich próbie wskrzeszenia Doktryny Rzetelności, co „Wall Street Journal” przezwiał „Projektem uciszenia Rusha”, ang. „Hush Rush Bill”).

To, co się obecnie dzieje, stwarza zagrożenie dla sprawowanej przez liberałów kontroli nad amerykańskimi instytucjami. Inie jest to zjawisko o charakterze politycznym. Naród amerykański odkrywa raz jeszcze to, do czego zawsze dążyli Założyciele – to, że przyszłość kraju spoczywa w jego własnych rękach. Że zależy ona od tego, jak rodzice wychowują swoje dzieci; zależy od nauczycieli, którzy dzieci te popychają ku doskonaleniu się; zależy od dziadków, udzielających owym dzieciom tradycyjnych lekcji moralności i cnoty; zależy od pastorów, księży i rabinów, wskazujących tym dzieciom Boga, który je kocha.

Najbardziej niebezpieczny człowiek w Ameryce

Nie znaczy to, by polityka czy urząd prezydencki były pozbawione znaczenia. Są one ważne. Waszyngton zabiera nam zbyt wiele wolności i swobód, umacniając niebezpieczny mit, jakoby rząd mógł zapewnić bezpieczeństwo, szczęście i pomyślność. Owszem, trzeba, by Amerykanie posyłali do Waszyngtonu i stolic stanowych mężczyzn i kobiety z charakterem. Ale polityka to nie wszystko.

Tak brzmi moje przesłanie i to dlatego jestem niebezpieczny. Wskaźnikami tego, jaki wpływ mają moje programy, nie mogą być wyłącznie wyniki wyborów w 1994 czy w 1996 roku, ponieważ nie prowadzę zwykłej walki o władzę polityczną, lecz walczę o odbudowę amerykańskich instytucji. Ponieważ zaś wywieram wpływ na dyskusję nad tym, w jaki sposób może to być osiągnięte, więc liberałów krew zalewa.

Podczas mojego programu wiele razy odbieram telefony od ludzi, którzy pomstują na taką czy inną niegodziwość ze strony liberałów, uskarżając się, że kraj trafił do rynsztoka. Tak z pewnością reagowano latem tego roku, gdy liberałowie walili salwami we mnie i w moich słuchaczy. Niewykluczone jednak, że liberałowie gonią już resztkami sił. Źródła ich siły – Partia Demokratyczna i jej przywództwo – są w katastrofalnym stopniu oderwane od rzeczywistości. Po prostu nie potrafią one przezwyciężyć swojego zniewolenia, wynikającego stąd, że podstawę ich siły stanowi elektorat złożony z ofiar losu. Przeraził ton i apokaliptyczna przesada, jakimi cechują się ataki liberałów na mnie, są wymownym i pouczającym świadectwem ich lęku przed utratą racji bytu.

Historycy zapamiętają rok 1994 jako przełomowy rok w polityce amerykańskiej. Był to rok, w którym współczesny liberalizm – ideologia dominująca na terenie każdej niemal instytucji kulturalnej i politycznej w kraju – objawił jak na dłoni swój głęboki brak pewności siebie. Lato 1994 roku będzie pamiętane jako pora, gdy liberałowie, czując wyraźnie drżenie ziemi tuż pod powierzchnią amerykańskiego życia społecznego i politycznego, zwrócili swoją wściekłość przeciwko człowiekowi nie będącemu ani politykiem, ani kandydatem na urząd polityczny. Tego to lata rozpętało się prawdziwe piekło przeciwko „najbardziej niebezpiecznemu człowiekowi w Ameryce”.

Liberałowie są mną przerażeni. I powinni być.

Rush Limbaugh

tłumaczył Zbigniew Bereszyński

Pierwodruk: Rush Limbaugh, *Why Liberals Fear Me*, „Policy Review”, Fall 1994, nr 70, s. 4-12; przedruk za zgodą wydawcy.

Czy duch konserwatyzmu się zatracił



Na wpół zapomniane dziedzictwo

Russela Kirka

Od czasu pierwszej publikacji *Umysłu konserwatywnego* (*The Conservative Mind*) Russela Kirka minęło 40 lat, a pozycja ta doczekała się już 7 wydań. Jak ktoś niedawno zauważył, Kirk „jest niczym stara rzeka: po prostu płynie naprzód”. I w ten sposób robi swoje. *Umysł konserwatywny* wciąż powszechnie uchodzi za książkę, która wywarła największy wpływ na współczesny konserwatyzm. Czy jednak naczelné idee i polityczne propozycje dzisiejszego ruchu konserwatywnego są naprawdę konserwatywne w tym sensie, w jakim terminu tego używał Kirk? Odpowiedź brzmi zarówno „tak”, jak i „nie”.

Pytanie to jest trudne do zaadresowania, ponieważ Kirk nie wypracował żadnego schematycznego wzorca „dobrego społeczeństwa”. Jak wskazywał, „Konserwatyzm nie stanowi ustalonego i niezmiennego zespołu dogmatów, a konserwatyści dziedziczą po [Edmundzie] Burke’u zdolność do zmian w sposobie wyrażania swoich przekonań odpowiednio do wymogów chwili.

Konserwatyści Kirka nie usiłują też konstruować żadnej konkretnej formy rządu. Zabiegają natomiast o zachowanie tego, co Kirk nazwał „rzeczami trwałymi” – norm właściwego postępowania, wywiedzionych z Objawienia, tradycji i rozumu, a streszczających się najlepiej w przykazaniu: „Miłuj bliźniego swego jak siebie samego”.

Boska wizja

Konserwatyści w stylu Kirka starają się zachowywać „stare przesłanki moralności i pracowitości, w które konserwatyści zawsze wierzyli: sankcje religijne, tradycję, obyczaj oraz powściągnięcie interesu prywatnego przez stosowne instytucje”. Kirk tłumaczył, że przesłanki te powinny być zachowywane nie tylko dla nich samych, lecz również ze względu na to, że umożliwiają one cnotliwy charakter i sposób życia. Dobre życie, w ujęciu konserwatywnym, polega na emocjonalnym przywiązaniu – do rodziny, do kościoła, do sąsiadów i współpracowników – które może zatracić się w pędzie do równości i poprawy materialnych warunków życia.

Konserwatyzm zaczyna się, pisał Kirk, od wiedzy, że „Boży zamysł rządzi zarówno społeczeństwem, jak i sumieniami” – że wyższy byt wiąże nas z naszymi bliźnimi i z poszczególnymi powinnościami. Wymaga on od nas również uznania, że nasz rozum i nasza dobroć są ograniczone, i zwracania się ku tradycyjnym zwyczajom i obyczajom dla określenia, jak powinniśmy postępować. Musimy zatem ochraniać nasz tradycyjny sposób życia z jego licznymi profesjami, klasami i kategoriami ludzi, jak również święty charakter własności, na której wspiera się nasza wolność. Polityka, a w szczególności działalność rządu centralnego, musi być podporządkowana działaniom i instytucjom o charakterze społecznym – rodzinie, kościołowi i związkowi lokalnym – tak byśmy mogli chronić to, co stanowi o istocie nas samych i naszego sposobu życia.

Wizja Kirka nie nadaje się do systematycznej analizy konkretnych i szczególnych postaw politycznych. Jego podstawowe zainteresowania wiązały się zawsze z porządkiem w naszych duszach, a nie z jakąkolwiek konkretną polityką, chyba że ta miałaby wpływ na rzeczy trwałe. Pewne rodzaje polityki mogą jednak bardziej od innych sprzyjać ochronie tego, co powinno składać się na niezmienné strony amerykańskiego charakteru. W tym duchu badam niektóre kluczowe przejawy postawy konserwatywnej z lat 80. i 90., pytając, czy podtrzymują one to rozumienie konserwatyzmu, jakie przedstawił Kirk w swoich licznych pismach, a szczególnie w *Umyśle konserwatywnym*.

Zdrowa gospodarka

Dzisiejsi konserwatyści opowiadają się za daniem ludziom możliwości gospodarczego działania. Konserwatyści „paleo”, „neo” czy „libertarianie”, uważają, że programy opieki społecznej podkopują nasz charakter, pozbawiając nas podstawowej odpowiedzialności za nasze życie. W przeciwieństwie do liberałów, konserwatyści naprawdę wierzą w treść sloganu, jakiego użył „nowy demokrat” Bill Clinton, przyjmując nominację z rąk partii demokratycznej: rząd powinien dawać ludziom „więcej siły, a mniej uprawnień”. Konserwatyści uważają, że rząd powinien pomagać ludziom stawiać się samowystarczalnymi, a nie uzależniać ich od publicznej jałmużny.

W tym duchu konserwatyści występują przeciwko liberalnym „uprawnieniom”, faworyzując w to miejsce zdrową i silną gospodarkę, wzmacnianą przez znoszenie uregulowań i obniżanie podatków, tak by ubodzy mogli znaleźć pracę i poprawić swoją pozycję społeczną. W swoim oredziu inauguracyjnym, prezydent Reagan stwierdził, że „Celem tej administracji będzie zdrowa, żywotna i rozwijająca się gospodarka”. Cele administracji konserwatywnej sformułowałby Russel Kirk.

W ujęciu Kirka, polityka zmierzająca do uniezależnienia ludzi od opieki społecznej ma znaczenie zasadnicze, ale musi wybiegać spojrzeniem poza pobudki i korzyści materialne. Kirk baczny, by pochylać aspiracje ekonomiczne tylko wtedy, gdy występują one we właściwym kontekście społecznym i moralnym. Oprócz wiary, wymienia on trzy inne „przedmioty namietnego zainteresowania ludzi”, umacniające nasze poczucie obowiązku i „rozum w wierze w to, że warto jest żyć”: uwiecznianie egzystencji duchowej poprzez życie naszych dzieci, uczciwe gromadzenie bogactw, oraz ufność w to, że mamy swój udział w pewnym porządku naturalnym i moralnym, w ramach którego „liczymy się bardziej niż muchy latem”.

Kirk podkreśla fakt, że nasz instynkt nabywania dóbr sami podporządkowujemy poczuciu rodzinnej lojalności – pragnieniu, by zostawić coś swoim dzieciom i w ten sposób zyskać dobre imię. Praca jest czymś dobrym, ponieważ pokazuje nam, że jesteśmy niezbędnymi członkami naszych społeczności. Czyni ona nas lepszymi, motywując nas do prowadzenia życia w sposób odpowiadający naszym powinnościom wobec rodziny, przyjaciół i sąsiadów. Pomaga wpajać nawyki niezbędne do dobrego życia. Wspieranie wzrostu zatrudnienia jest przeto u Kirka dobrem, pod warunkiem, że czyni się to mając na względzie odbudowę rodzin i lokalnych społeczności, a nie tylko w imię wzrostu gospodarczego.

Kirk rzadko wspomina o „wzroście” gospodarczym inaczej niż w celu skrytykowania niektórych Amerykanów za przedstawianie tanich dóbr konsumpcyjnych jako esencji amerykańskiego sposobu życia. Nie odrzuca on gospodarczego zdrowia i gospodarczej żywotności, lecz jego głównym przedmiotem zainteresowania jest gospodarcza stabilność, która „[...] nie oznacza zapewnienia każdemu obfitości: żaden program socjalny, a już najmniej gospodarka opiekuńczego państwa dobrobytu, nie zdoła zaspokoić materialnych apetytów całej ludzkości”.

Kirk argumentuje jednak za gospodarką zasadającą się na „racjonalnej relacji” między wysiłkiem a wynagrodzeniem”. Kirk często wskazuje na bezpieczną pozycję i szerokie rozpoznanie własności jako na wielki bastion naszej wolności i naszego sposobu życia. Ludzie posiadający coś na własność będą się starali to coś ulepszać, a może i nabyć tego więcej. Stwierdzą oni, że aby mogli w sposób ciągły cieszyć się swoją własnością, potrzeba im zarówno wolnej gospodarki, jak i stabilności społecznej i politycznej.

Dążenie do własności i wydajności gospodarczej – czy to poprzez udoskonalanie technologii lub przemieszczanie działalności, czy też poprzez działania rządowe – ma zawsze pewne niezamierzone konsekwencje: może np. rozbijać wspólnoty ludzkie poprzez przemieszczanie lub eliminację pewnych zawodów i rozrywanie więzi społecznych. Kirk stwierdza przeto z naciskiem, że przedsiębiorcy będą starali się utrzymywać równowagę pomiędzy swoim pragnieniem ekonomicznego awansu a wymogami tradycji. Powinni oni starać się chronić prawa własności przed regulacją państwową oraz przed agencjami rządowymi, które nazbyt często wygładzają ustalone stosunki sąsiedzkie, aby stworzyć pole dla „postępu” gospodarczego. Kirk przekonuje, że nie możemy uganiać się za własnością w sposób tak prostoduszny, by zapominać, że to gospodarcza

stabilność – owa „racjonalna więź między wysiłkiem a nagrodą” – jest tym, co zespała społeczności i podtrzymuje cnotliwy sposób życia. Jeżeli pogoń za materialną nagrodą sprowadza się do samej zachłanności, to, jak każda inna forma apetytu, zespuje ona nasz charakter i nasze społeczeństwo.

Niepokój ten sprawia, że poparcie Kirka dla programów gospodarczego umacniania ludzi ma charakter warunkowy. Strefy przedsiębiorczości np. stanowią realizację solidnych zasad konserwatywnych: umacniają one ubogich poprzez ożywianie obszarów gospodarczo zaniedbanych. Uwalnianie przedsiębiorców od uciążliwych podatków i regulacji zachęca ich do podejmowania i rozwijania działalności. Jeżeli pozwoli im się podążać bardziej za swoimi instynktami niż za wskazaniami biurokracji, ludzie będą próbowali sami wydobyć się z nędzy.

Niestety, niektórzy rzecznicy gospodarczego umacniania ludzi zakładają, że Amerykanie to ludzie o mentalności ekonomicznej – przedsiębiorcy, których można uczynić cnotliwymi z pomocą samej tylko obietnicy zysku. Kirk konsekwentnie opowiada się za nietyknością własności prywatnej i ograniczeniem roli rządu centralnego. Zaś wolna przedsiębiorczość pozostaje najbardziej wydajnym sposobem wymiany dóbr. Jak jednak stwierdza Kirk, może w sposób przesadnie krytyczny: „ogniwo w postaci zapłaty gotówką, nie stanowiące nigdy mocnej więzi społecznej, nie wystarczy dla utrzymania w ryzach fanatycznej ideologii ani nawet dla zapewnienia gospodarczej pomyślności”.

Dla Kirka problemy naszych miast wynikają zasadniczo nie z ubóstwa, lecz z załamania się charakteru. Jak stwierdza on w *Enemies of the Permanent Things* (Wrogowie rzeczy trwałych): „Mieszkańcy amerykańskich slumsów mogą utrzymywać bardzo dobre wynagrodzenie – gdy pracują. Ich problem polega na tym, że są oni społecznie i moralnie wykorzeni. Zagubili oni więź ze wspólnotą, a wielu z nich zatraciło wszelkiego typu więź moralną. Tym, co im dolega być może w większości wypadków jest brak woli, pogłębiany i w części wytworzony przez zniszczenie rodziny i znaków orientacyjnych społeczności”.

W ujęciu Kirka, nasze slumsy są padołami rozpacz, nie dlatego, że ich mieszkańcy są biedni, lecz ponieważ uległ zniszczeniu ich zmysł wspólnoty. Programy federalne przejęły to, co należy do właściwych funkcji rodziny i otoczenia sąsiedzkiego, to one – nie matki, ojcowie i sąsiedzi – pomagają dzieciom. Nie ma powodu, a dzięki niwelującym efektom odnawiania się miast również i miejsca na to, by zbierać się razem dla kształcenia w swoich dzieciach nawyków moralnych i nadziei. Bez owych nawyków aż nazbyt wiele z owych dzieci zatraci wolę walki o poprawę swojego losu oraz losu swoich rozbitych rodzin i społeczności.

Odpowiedź na problem chronicznego ubóstwa polega na odrodzeniu standardów moralnych, a nie tylko na spuszczeniu ze smyczy apetytów ekonomicznych. Podczas gdy wielu analityków politycznych koncentruje się na „naczelnych wskaźnikach ekonomicznych”, William Bennett jest bliższy Kirkowi, zwracając uwagę na to, że wskaźniki kulturalne – takie jak wskaźniki dotyczące oświaty, rodziny i przestępczości – są przy ocenie dobrobytu naszego społeczeństwa o wiele ważniejsze. Dobrze urządzonej społeczności będzie się stosunkowo nieźle powodzić właśnie dlatego, że jej członkowie nie będą się koncentrować przede wszystkim na gromadzeniu pieniędzy. Jak mówi Kirk, „Ze wszystkich systemów gospodarczych, jakie człowiek kiedykolwiek wytworzył, nasza gospodarka przemysłowa jest w sposób najbardziej wrażliwy zależna od publicznej energii, prywatnej cnoty i płodności wyobraźni. Jeżeli ciągle wyobrażamy sobie, że wydajność i dochód są głównymi celami ludzkiej egzystencji, to musimy uznać się za wyjątkowych nieszczęśników i zdumiewających nędzarzy”.

Tylko pozostając ze sprawą poczucia obowiązku, w więzi ze swoimi rodzinami, kościołami i sąsiadami, mogą ludzie w cnotliwy sposób dążyć do bogactwa. Tylko uznając prawa wyższe, a nie prawo „tanio kupić, drogo sprzedać”, można utrzymać pokój i uprzejmość niezbędne dla korzystnej wymiany ekonomicznej. Wszelka społeczność może przetrwać tylko wtedy, gdy przyzwoitość będzie widziana jako ważniejsza od zysku.

Pułapka mówienia o prawach

Dzisiejsi konserwatyści wierzą w ochronę naszych praw przed ingerencją rządu, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o wychowanie naszych dzieci. Konserwatyści długo bronili praw jednostki przed rządem centralnym, czy to w odniesieniu do

własności prywatnej, podatków, czy innych kwestii ekonomicznych. Obecnie, w obliczu umacniającej się liberalnej nietolerancji, wielu konserwatystów zaczyna domagać się również nowych praw w sferze socjalnej – od „praw rodzicielskich” w obcowaniu z biurokracją w dziedzinie oświaty społecznej po „prawo” grup religijnych do korzystania z placówek szkolnych na równi z innymi grupami.

Kirk zawsze dbał o to, by dyskutować o prawach tylko w kontekście historii i potrzeb społeczności. Tak więc opowiada się on za „ochroną lokalnych swobód, tradycyjnych praw prywatnych i podziałem władzy”. W opinii Kirka, prawa w ramach społeczności politycznej rozwijają się z czasem w naszych miastach i powiatach; dziedziczymy je po naszych przodkach w dokumentach, takich jak Konstytucja (którą należy interpretować zgodnie z intencjami jej autorów), i w codziennej praktyce. Co więcej, „prawa jednostek występują i utrzymują się w ramach społeczności – nie przeciwko społeczności”. Kirk starannie podkreśla przeto, że „każde prawo idzie w parze z jakimś obowiązkiem”. Zarówno prawa, jak i obowiązki wypływają zaś z historycznej praktyki, a nie z rzekomo wszechpoteżnego umysłu filozofa czy jurysty. Oznacza to, że dyskutując na temat praw – czy będzie to prawo do posiadania broni, czy też prawa nie narodzonych – nie można odzierać ich z historycznego kontekstu. Żadne prawo, zdaniem Kirka, nie ma zatem charakteru absolutnego: to historyczna praktyka danej społeczności musi pomóc nam w rozstrzygnięciu, gdzie np. indywidualne prawo do życia musi ustąpić wobec prawa społeczności do obrony siebie przed mordercą.

Często dziś np. argumenty na rzecz wyboru szkoły ujmowane są w kategoriach praw rodzicielskich. Rodzice powinni mieć „prawo” decydowania o tym, do jakiej szkoły będzie uczęszczać ich dziecko. Korzystając z tego prawa, rodzice mogą czynić nauczycieli i wychowawców odpowiedzialnymi za ich działania. Konserwatyści przekonują, że tak umocnieni rodzice mogliby wyrugować polityczną poprawność i słabość biurokracji z powrotem na rzecz tradycyjnych standardów pozytywnego wyróżniania się.

Kirk często krytykuje biurokratycznych „wychowawców” z Narodowego Stowarzyszenia Oświatowego. W swojej niedawno wydanej *Polityce rozstrojenia* (*The Politics of Prudence*) mówi on, że „jest wysoce wątpliwe, aby mogło dojść do jakiegokolwiek wyraźniejszej reformy szkół publicznych, dopóki kilka stanów... stosuje pewną formę »planu poręczyciela«”. „Wybór” zakłada jednak tylko wolność wybierania, zaś wolność taką musi się we właściwy sposób realizować, jeżeli ma to być korzystne. Powoływanie się na prawa rodzicielskie, powiada Kirk, niesie ze sobą ryzyko liberalizmu. Wizja Kirka we właściwszy sposób ujmuje historyczną, zwyczajową praktykę amerykańskich rodziców – praktykę przyznającą autorytetowi rodzicielskiemu znacznie większą rolę niż czynią to dzisiejsi „opiekunicy” biurokracji.

Co się tyczy praw religijnych w szkołach publicznych, to dobrze byłoby pamiętać, że religia, przynajmniej w ujęciu Kirka, stanowi prapodstawę kultury, a cywilizacji w szczególności. „Prawda religijna jest źródłem wszelkiej wiedzy”. Jeżeli zatem dopuścimy do tego, by praktyki religijne stały się tylko jednym więcej przejawem prywatnej aktywności pozaszkolnej, stosowanym jako forma ucieczki od życia publicznego i politycznego, to zubożymy nasze własne dusze oraz ducha naszej społeczności.

Rodzice powinni mieć nie tylko możliwość „wyboru” czy „prawo” postępowania ze swoimi dziećmi tak, jak sobie tego życzą. Powinniśmy raczej ponownie uznać obowiązek decydowania przez rodziców o tym, jak najlepiej kształcić swoje dzieci. Uznanie takie pozwoli nam przejść do bardziej pożytecznej dyskusji na temat tego, jakiego rodzaju decyzje chcielibyśmy widzieć podejmowane przez rodziców w tej dziedzinie.

Jeżeli mamy odbudować nauczanie w Ameryce, musimy „przywrócić temu nauczaniu jego pierwotne nastawienie w kierunku tego, co Boskie – abyśmy mogli wiedzieć, co to znaczy być w pełni człowiekiem, i aby wiedzieć, że człowiek jest stworzony do wieczności”. Wybór szkoły, w ujęciu Kirka, nie jest celem samym w sobie, lecz środkiem służącym do pomnażania moralnego i kulturalnego konsensusu, na którym opiera się prawdziwe nauczanie. Jeżeli nauczanie ma czynić nas lepszymi ludźmi, nie może ono skupiać się na naszych partykularnych pragnieniach, wliczając w to nasze partykularne cele życiowe. Musi ono raczej ponownie skoncentrować się na „pewnych ukierunkowujących księżkach” w tradycji zachodniej, które zaznajamiają nas z naszą naturą i naszymi obowiązkami. Przyuczanie

do pracy i stwarzanie pracy są „produktami ubocznymi” prawdziwego nauczania: próby osiągania tych celów w sposób bezpośredni są w istocie źródłem oświatowego zepsucia.

Mit równości

Dzisiejsi konserwatyści występują przeciwko radykalnemu egalitaryzmowi nowej klasy intelektualistów i biurokratów, pragnąc zamiast tego oprzeć naród na obyczajach i wartościach klasy średniej. Odrzucając ideę, że dobroczynni biurokraci powinni kontrolować – tak jak „wspierają” – nas pozostałych, konserwatyści preferują reprezentowaną przez Lincolna wizję społeczeństwa, w której ciężko pracujący robotnicy mogą zostać swoimi własnymi szefami. Można odnieść wrażenie, że Kirk odrzuca tę wizję dawania możliwości ekonomicznego działania i siły tkwiącej w etyce pracy. W końcu napisał on, że „cywilizowane społeczeństwo potrzebuje warstw i klas”. Kirk uznaje jednak prymat nie odziedziczonych, lecz „naturalnych różnicowań”, powiązanych z „ostatyczną równością w osądzie Bożym i równością wobec prawa”.

Nie wolno wszelako nie dostrzegać zaniepokojenia, jakie odczuwa Kirk z powodu tego, że pęd do równości stał się w Ameryce zbyt potężny: „Najbardziej rzucającym się w oczy problemem konserwatyizmu w naszych czasach jest to, że stoi on w obliczu narodu, który doszedł do tego, że patrzy na społeczeństwo w niewyraźny sposób jako na jednorodną masę identycznych jednostek o nieodróżnialnych zdolnościach i potrzebach, których szczęście może być zapewnione ogólnie za pomocą ustawodawstwa lub jakiegoś rodzaju publicznego instruowania”.

Wielu Amerykanów, a w szczególności elity liberalne, zaczęło domagać się równości materialnej. Akcja afirmacyjna i inne programy są nadal realizowane, ponieważ zbyt wielu z nas uwierzyło, że wszyscy powinniśmy być równi, nie tylko w oczach Boga i sądów, lecz i pod względem naszego powodzenia materialnego w życiu – niezależnie od naszych talentów i starań. Osiągnięcie takich efektów jest niemożliwe. Widzimy jednak coraz więcej programów politycznych zmierzających do ich wytworzenia, ponieważ nie chcemy pogodzić się z faktem, że jednym ludziom wiedzie się w życiu lepiej niż innym.

Kirk tłumaczy bez zakłopotania, że nie jest rzeczą możliwą – ani pożądaną – abyśmy mieli w wolnym społeczeństwie równość możliwości. Rodziny nigdy nie będą sobie równe pod względem rodzicielskiej pomocy i motywacji, naturalnych uzdolnień czy zasobów finansowych. Współcześni konserwatyści prawie jednak nie zabierali głosu w tej kwestii: mało kto otwarcie kwestionuje założenia na temat potrzeby równych możliwości.

Wraz z większością konserwatystów Kirk czuje lęk i odrazę wobec elit biurokratycznych. Centralnym przedmiotem jego troski jest jednak to samo, co u Edmunda Burke’a – to, by ludzie uczyli się miłować swoich bliźnich, działając jako lojalni członkowie warstwy, do której należą za sprawą swojego urodzenia, ciężkiej pracy lub szczęścia. Istnieje zaś wiele warstw ludzi, od farmerów do robotników, od kupców po „klasy wykształcone”, które to warstwy są w odczuciu Kirka podatne na konserwatywne rozumowanie, o ile tylko zwrócimy się do nich we właściwy sposób.

Duża i silna „klasa” posiadająca naley, zdaniem Kirka, do największych bogactw Ameryki. Pragnienie ochrony tej klasy nie może jednak przekształcać się w żądanie, by każdy z nas został jej członkiem lub by wszyscy jej członkowie działali podobnie, ponieważ posiadacze mogą również być farmerami, kupcami lub członkami licznych innych warstw ludzi. Tym, czego powinniśmy się domagać, jest jednakowe trzymanie się nakazów honoru i obowiązku wobec swojej rodziny, kościoła i bliźnich.

Ponowne odkrywanie charakteru

Konserwatyści uznają, że to w naszych rodzinach, kościołach i dobrowolnych stowarzyszeniach w życiu lokalnym zdobywamy właściwy charakter, tzn. uczymy się być ludźmi przyzwoitymi.

Konserwatyści uznają także, że nasze scentralizowane państwo dobrobytu stwarza dla tych instytucji zagrożenie. Jeżeli jest coś, co łączy ze sobą wszystkich członków ruchu konserwatywnego, to tym czymś jest uznanie, że program Wielkiego Społeczeństwa Lyndona Johnsona zniszczył w praktyce tak kluczowe dla lokalnych społeczności pojęcie osobistej odpowiedzialności i obowiązku publicznego.

Oto przykład ciągłego oddziaływania myśli Kirka z jej naciśkiem na budowanie charakteru: Charles Murray, zwany rów-

no neokonserwatystą, jak i libertarianinem, wymienia Kirka wśród podziękowań w swojej znanej książce *In Pursuit of Happiness and Good Government* (*W poszukiwaniu szczęścia i dobrego rządu*) jako człowieka, którego dzieło wywarło głęboki wpływ na jego własne dzieło. Jak pokazuje Murray, liberalna inżynieria społeczna zniszczyła tych samych ludzi, którym miała pomóc. Nagradzając nieprawość i lenistwo, programy opieki społecznej doprowadziły do pogorszenia sytuacji rodzin i naruszenia więzi sąsiedzkich, w ramach których ludzie uczyli się zachowań przynoszących powodzenie ekonomiczne i moralne.

Również James Q. Wilson w *The Moral Sense* (*Zmysł moralny*) stwierdza, że rodziny są podstawowymi instrumentami, z pomocą których uczymy się tego, jakie są nasze powinności oraz jak i dlaczego powinniśmy je wypełniać. Badając liczne społeczeństwa, Wilson stwierdza, że ludzkość wszędzie spogląda ku rodzinie w poszukiwaniu moralnej nauki. Panowie Murray i Wilson zgadzają się z tym, co Kirk powiedział już dawno temu: cnotliwych obyczajów uczymy się tylko w ramach ścisłych związków występujących w życiu prywatnym i społecznym. Opiekuńcze państwo dobrobytu, odbierając nam potrzebę łączenia się z naszymi bliźnimi, zamienia nas w ludzi obcych, którzy w potrzebie mogą spoglądać tylko ku rządowi.

Przywracanie rzeczy trwałych

Odpowiedź Kirka na stanowisko zajmowane przez współczesną politykę konserwatywną w większości wypadków wydaje się brzmieć: „Tak, ale...” Jego wizja zawiera w sobie większość tych stanowisk, postrzega on je jednak tylko jako środki do osiągnięcia wyższego celu – przywrócenia rzeczom trwałym ich właściwego, centralnego miejsca w naszym życiu.

Konserwatywnie dyskusje na temat wartości rodzinnych pokazują, jak bardzo wizja Kirka może być zagrożona przez kładzenie zbyt wielkiego nacisku na kwestie praktyczne. Rodzina z pewnością stanowi źródło zachowań, służących powodzeniu ekonomicznemu i moralnemu. Niektórzy konserwatyści nie dostrzegają jednak, że nie da się uratować rodziny tylko przez samo stwierdzanie i wykorzystywanie jej praktycznej użyteczności. Wyłączne zaś posługiwanie się argumentem, że rodzina jest czymś pożytecznym, oznacza rezygnację z moralnej przewagi na rzecz tych, którzy kaprysy jednostek stawiają ponad potrzebami rodzin i społeczeństwa.

„Wartości rodzinne” to skrót na oznaczenie moralnego zrozumienia, że mamy zobowiązania wobec tych, których znamy i kochamy. Zaś „odzyskiwanie moralnego zrozumienia nie może być tylko środkiem do odbudowy społeczeństwa: musi być celem samo w sobie, choć będzie pociągać za sobą pewne konsekwencje społeczne”. Nierozerwalność małżeństwa była do niedawna respektowana, ponieważ ludzie uważali, że jest rzeczą złą – nie tylko szkodliwą na dłuższą metę, ale złą – porzucić zaślubionego partnera i dzieci w imię „osobistego rozwoju”, dalszej kariery czy nowej miłości. Takie egoistyczne postawy są złe, ponieważ podporządkowują naszą wyższą naturę – tę część nas, która pielęgnuje nasze uczuciowe przywiązania – naszym niskim apetytom, podkopując w ten sposób nasz charakter i nasze społeczeństwo.

Kirk bywa niekiedy zbyt pochopny, jeżeli chodzi o stwierdzanie winy u tych, którzy dążą do rozwoju gospodarczego, a zbyt powolny tam, gdzie chodzi o postrzeganie sposobów na to, by postęp gospodarczy i techniczny zwrócić ku celom konserwatywnym. Gospodarka stanowi niezbywalną część naszego życia. Jeżeli wytwory i sposoby pracy danej społeczności nie będą zmieniać się, jak to konieczne dla utrzymania ich ekonomicznej żywotności, to społeczność taka – choćby i cnotliwa – obumrze. Centralne miejsce u Kirka zajmuje jednak następująca teza, o której, na nasze nieszczęście, zapominamy: „Dwudziestowieczny konserwatyzm troszczy się przede wszystkim o odrodzenie ducha i charakteru – zajmując się odwiecznym problemem wewnętrznego ładu duszy oraz odbudowy etycznego zrozumienia i religijnej sankcji, na których opiera się wszelkie życie warte prowadzenia”.

Bruce Frohnen

tłumaczył Zbigniew Bereszyński

Pierwodruk: Bruce Frohnen, *Has Conservatism Lost Its Mind? The Half-Remembered Legacy of Russell Kirk*. „Policy Review”, Winter 1994, nr 67, s. 62-68; przedruk za zgodą wydawcy.

Czy PZPR była organizacją przestępczą?

Ocena PRL-u, a szczególnie rola, jaką w tym systemie pełniła PZPR była przedmiotem uchwały i debaty sejmowej. Jak często bywa w takich przypadkach, racje moralne mieszają się z racjami politycznymi i historycznymi. W debacie nad PRL można wyróżnić trzy niezależne od siebie pytania: Czy komunizm był systemem zbrodniczym? Czy PRL była państwem niepodległym, czy wasalnym? I wreszcie czy PZPR (oraz inne organizacje jak SB) była organizacją przestępczą?

Na pytanie, czy komunizm był systemem zbrodniczym, odpowiedź musi być jednoznaczna – tak. Najnowsza publikacja poświęcona komunistycznemu ludobójstwu, wydana pod redakcją S. Courtoisa, *Czarna księga komunizmu* szacuje, że system ten pochłonął około 100 mln istnień ludzkich. Dla porównania dodajmy, że nazizm kosztował życie około 25 mln ludzi. Gdyby jednak pominąć ofiary wojenne nazizmu i obliczyć straty wewnętrzniemieckie, to okaże się, że w Niemczech do 1939 roku zabito ok. 20 tys. osób, a przez obozy koncentracyjne przewinęło się ok. 200 tys. osób. W 1939 roku w obozach przebywało około 28 tys. więźniów. Tymczasem tylko w okresie dwuletniej czystki w Związku Sowieckim w latach 30 zastrzelono ok. 650 tys. osób.

Na taki wynik zapracowały dokonania komunizmu sowieckiego, chińskiego i kambodżańskiego. W latach 30. w wyniku prowadzonej przez rząd sowiecki kolektywizacji rolnictwa na Ukrainie i Powołżu, w wyniku głodu zmarło około 8 mln osób. W Kambodży realizacja utopijnych planów Pol-Pota kosztowała życie 2 mln istnień ludzkich. Przypomnijmy, że populacja Kambodży liczyła 5 mln osób. To tylko jedne z najbardziej drastycznych „osiągnięć” komunizmu. Również w historii naszego kraju system ten (w wersji sowieckiej) zaznaczył swoją zbrodniczą obecność. Porozumienie Hitler-Stalin rozpętało II wojnę światową, w Katyniu został zamordowany przez NKWD kwiat inteligencji polskiej, a w latach 1939-41 około 1,5 mln obywateli polskich Sowieci deportowali, z których większość zginęła w Gułagu.

Komunizm nie oznaczał jedynie terroru i zniewolenia. W wymiarze cywilizacyjnym doprowadził do gospodarczej i technologicznej degradacji i zacofania. System centralnego planowania i reglamentacji wolności gospodarczej doprowadził do cywilizacyjnego regresu. Kraje komunistyczne nie rozwijały myśli technicznej. Poziom życia w tych krajach był o wiele niższy niż w krajach kapitalistycznych. Wystarczy choćby porównać standard życia w NRD i w RFN, Korei Północnej i Południowej. Jak stwierdza prof. dr hab. Wojciech Roszkowski: „pod względem” produktu narodowego brutto na jednego mieszkańca praktycznie większość krajów rozwinęła się szybciej. O ile przed wojną dochód społeczny na jednego mieszkańca był siedmiokrotnie niższy niż w USA, w 1989 roku był już dwunastokrotnie niższy. Międzywojenny dochód Wielkiej Brytanii był około sześciokrotnie wyższy niż polski, a w 1989 roku – ośmiokrotnie wyższy, Francji – odpowiednio – czterokrotnie i dziesięciokrotnie wyższy, a Niemiec – pięciokrotnie i jedenastokrotnie wyższy. Nabardziej nieprzyjemnie wygląda porównanie z krajami, które przed wojną wyprzedzały nas niewiele, jak Finlandia, Hiszpania i Włochy, lub znajdowały się nawet za Polską, jak Grecja i Portugalia. W 1989 roku miały one produkt narodowy brutto na jednego mieszkańca dwunastokrotnie (Finlandia), ośmiokrotnie (Włochy), pięciokrotnie (Hiszpania), trzykrotnie (Grecja), dwaićmiokrotnie (Portugalia) wyższy niż Polska”. (W. Roszkowski, *Wczoraj czy dziś? W: Spór o PRL* (Praca zbiorowa) Znak, Kraków 1996, s. 101-102).

Również w wymiarze kulturowym komunizm oznaczał narzucenie ideologicznej kontroli, ograniczając rozwój wolnej myśli. Największe osiągnięcie komunizmu – dostęp do wykształcenia – okazał się mitem. W Polsce 7% osób ma wyższe wykształcenie w porównaniu z ok. 20% populacji zachodniej. Tak więc we wszystkich wymiarach życia społecznego komunizm oznaczał cywilizacyjną degradację.

Odpowiedź na to pierwsze pytanie jest niezależna od odpowiedzi na pytanie drugie, które, przypomnijmy, brzmi: Czy PRL

była krajem niepodległym czy też zamaskowaną formą sowieckiej okupacji. Również odpowiedź na to pytanie jest jednoznaczna – PRL była pod sowiecką okupacją choć natężenie kontroli sowieckiej zmieniało się w czasie. Mówi o tym sama geneza PRL. Pierwsza próba narzucenia sowieckiego władztwa Polsce nastąpiła w 1920 roku. Na szczęście w wyniku odniesionego przez J. Piłsudskiego zwycięstwa pod Warszawą utworzony w Białymstoku przez Dzierżyńskiego, Marchlewskiego i Kona TKRP nie miał okazji objąć władzy w Polsce. Bezpośrednią genezą sowieckiego władztwa nad Polską były wydarzenia z lat 1939-41. Wtedy to na wschodnich kresach Polski wypróbowano system sprawowania władzy, polegający na połączeniu terroru z fikcją dobrowolności. W latach 1939-41 jednocześnie NKWD aresztowało ludzi, a Rady Delegatów Ludowych Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi wysuwały dobrowolne apele z prośbą o włączenie do Związku Sowieckiego. Kolaboracją z okupantem sowieckim zhańbili się między innymi Wanda Wasilewska, Władysław Broniewski i inni. Ten sam schemat powtórzył się w latach 1944-56, kiedy to w tym samym momencie łączono terror z fikcją wolnych wyborów, które, jak dowodzą tego historyczne badania, były systematycznie fałszowane. Pierwszym prezydentem w PRL był Bolesław Bierut – etatowy pracownik NKWD. W wojsku i ministerstwie bezpieczeństwa zatrudniani byli sowieccy „doradcy”, których zadaniem było nadzorowanie władców PRL.

W ocenie PRL warto tutaj porównać okres zaborów (1795-1918) z okresem PRL-u. Zależność narodu polskiego od zaborcy, podobnie jak zależność PRL od ZSRS również ewoluowała – od półsuwerennego Królestwa Polskiego w latach 1815-1830 do nocy apuchtinowskiej po powstaniu styczniowym, charakteryzującą się przymusową rusyfikacją, konfiskatą mienia i likwidacją swobód obywatelskich. Nie zmienia oceny zaborów fakt, że w latach 1815-1830 w Królestwie Polskim więcej osób miało prawa wyborcze niż w liberalnej Francji. Nie zmienia oceny zaborów fakt, że poziom rolnictwa wielkopolskiego w zaborze pruskim był jednym z najwyższych w Europie. Argumentację typu – „nie można w czambuł potępiać PRL-u, gdyż w PRL ludzie rodzili się, pracowali, wychowywali dzieci, więc przekreślanie PRL-u oznaczałoby zarazem przekreślanie całego ich dorobku życiowego” – można w następujący sposób zastosować do oceny zaborów w historii Polski: „nie można w czambuł potępiać zaborów, gdyż również w tym okresie ludzie rodzili się, pracowali, wychowywali dzieci – przekreślanie zaborów oznaczałoby przekreślanie całego ich dorobku życiowego”. Otóż nie oznacza. Rozwój cywilizacyjny i kulturowy narodu polskiego w okresie zaborów dokonywał wysokim kosztem i często wbrew woli państw zaborczych. Również rozwój cywilizacyjny i kulturowy, jaki dokonał się w PRL (w tempie wolniejszym od rozwoju krajów zachodnich) dokonywał się wielkim wysiłkiem oraz często wbrew lub pomimo istniejącej formacji ustrojowej. Ocena dorobku życiowego ludzi żyjących w danej formacji ustrojowej nie ma nic wspólnego z oceną samej formacji ustrojowej. W III Rzeszy ludzie również rozdzielili się, pracowali, wychowywali dzieci. Nie zmienia to jednak faktu, że hitlerizm był systemem zbrodniczym.

Odpowiedź na trzecie pytanie, które brzmi: Czy PZPR była organizacją przestępczą? jest znów niezależna od odpowiedzi na dwa poprzednie pytania. Dotyczy ona problemu odpowiedzialności za PRL i komunizm. Odróżnić tutaj trzeba dwa aspekty: można odróżnić bowiem organizację przestępczą i organizację przestępców. Organizacja przestępców nie musi koniecznie dokonywać czynów przestępczych. Złodzieja może ruszyć sumienie i założyć ochronkę dla dzieci. Nie zmienia to jednak faktu, że powstała ochronka została założona przez przestępcę. Z drugiej strony, nie każdy w organizacji przestępczej może być świadomy charakteru organizacji, do której należy, i dokonywać czynów przestępczych. Mafia sycylijska – jeżeli odwołać się do przykładu – oprócz działań nielegalnych prowadziła również całkiem legalne interesy. Ludzie prowadzący w imieniu mafii

Krzysztof Brzechczyn

Pierwodruk: „Nowości”, Toruń, 7 marca 1998, nr 56, s. 4.

„Solidarność Walcząca” była organizacją czynnego oporu

• Wywiad z Andrzejem Mycem, członkiem Komitetu Wykonawczego Organizacji „Solidarność Walcząca”

□ Gdzie pracowałeś w momencie powstania Solidarności w sierpniu 1980?

W sierpniu 1980 roku pracowałem w Instytucie Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN we Wrocławiu, przy ul. Czerskiej 12.

□ Jak wyglądało powstanie Solidarności w Instytucie?

Zaczęło się, jak wszędzie w Polsce, od strajków na Wybrzeżu. O strajkach słyszałem z zachodnich rozgłośni radiowych. O szczegółach dowiedziałem się od Jurka Petryniaka, który miał informacje od Kornela Morawieckiego. Był to koniec sierpnia, 26, a może trochę wcześniej.

Kornel przyniósł Jurkowi do Instytutu ulotki, w których było wydrukowanych 21 postulatów strajkujących stoczniowców i odezwa pt. *Do ludzi pracy miasta Wrocławia*. Odezwa ta nawoływała do podjęcia akcji solidarnościowych. Jurek Petryniak rozdał te ulotki Sławkowi Kosińskiemu, Andrzejowi Gaminowi i mnie. Zapytał nas, czy mamy jakieś wątpliwości i pytania. Sławek wyraził to, o czym wszyscy w tamtej chwili myśleliśmy. „Czy ty się nie boisz?” – zapytał. Jurek miał świetną ripostę: „Wiadomo, w takiej sytuacji każdy się boi, ale nie czas o tym myśleć, bo tam czekają ludzie na nasze ulotki”. Więcej pytań nie było. Poszliśmy rozrzucać ulotki po mieście.

We Wrocławiu pętle tramwajowe i autobusowe rozlokowane są z reguły przy dużych zakładach pracy, więc przyjęliśmy taki plan działania: jechaliśmy na końcowy przystanek i tam rozrzucaliśmy ulotki pod zakładami pracy i w pustych autobusach i tramwajach. Po dwóch czy trzech dniach zaczął się strajk we Wrocławiu. Stał Pafawag, MPK i jeszcze kilka zakładów. Było to dla nas dużym zaskoczeniem, ale i radością. Myślałem sobie naiwnie, że to my dzięki tym ulotkom rozpoczęliśmy strajk we Wrocławiu.

28 sierpnia, w czwartek, po rozpoczęciu strajku generalnego we Wrocławiu razem z Jurkiem Petryniakiem zredagowaliśmy list otwarty do Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego od pracowników Instytutu Immunologii. W liście tym wyrażaliśmy nasze poparcie dla strajkujących zakładów. Przy zbieraniu podpisów wśród pracowników Instytutu spotkaliśmy się na ogół z życzliwym przyjęciem. List podpisało około 80% osób, do których się zwróciliśmy. Jedni podpisali się bez zastanowienia, ale byli i tacy, których po podpisaniu listu ogarniała panika i biegli za nami, aby się skreślić. Widziałem, jak ludzie łamali się – chcieli się podpisać i bali się jednocześnie. Ja bałem się nie mniej od innych, choć nie bardzo wiedziałem czego. Może tego, że mnie wyrzucą z Instytutu, może, że zamkną w więzieniu. Postawa Jurka Petryniaka dodawała mi jednak otuchy. Jurek był bardzo zdeterminowany i już wtedy dał się poznać jako znakomity przywódca.

Kilka osób stanowczo odmówiło swojego podpisu, wśród nich pani Helena Gierko, wicedyrektor Instytutu ds. administracyjnych. Spojrzała na nas wyniośle i zapytała: „Czy panowie dobrze się nad tym zastanowili?” Zanim zdążyłem pozbiierać myśli, Jurek jednym tchem wypalił: „Tak, miałem na to czas przez ostatnie trzydzieści lat!”.

List doręczyliśmy Międzyzakładowemu Komitetowi Strajkowemu, który mieścił się wtedy w zajezdni tramwajowej na ulicy Grabiszyńskiej. Później zorganizowaliśmy stałą pomoc dla strajkujących poprzez zbiórkę pieniędzy, jedzenia itd.

□ Jakie funkcje pełniłeś w NSZZ „Solidarność”?

We wrześniu ukonstytuowała się w Instytucie KZ NSZZ „Solidarność”. Przewodniczącym był nieżyjący już dzisiaj Jan Wojcikowicz, Jerzy Petryniak był pierwszym wiceprzewodniczącym, Stanisław Gnot – drugim, ja byłem członkiem Komisji oddelegowanym do prac w Regionalnej Komisji Porozumiewawczej Nauki – tak to się chyba nazywało. Dzięki temu miałem możliwość poznania wielu interesujących osób, co – jak się później okazało – było bardzo pomocne w pracy konspiracyjnej. Poznałem tam

m.in. Tomka Wójcika, Olka Labudę, Ludwika Turko, Zbyszka Jakubca, Witka Grabowskiego, Zdzisława Cichockiego. W ramach prac RKPN po 6 miesiącach działania „S” zorganizowaliśmy we Wrocławiu Ogólnokrajową Konferencję poświęconą realizacji 21 postulatów. Wnioski z tej konferencji były jednoznaczne, większość z 21 postulatów nie została przez władze zrealizowana.

□ Jak wyglądały pierwsze dni po wprowadzeniu stanu wojennego we Wrocławiu?

W niedzielę po południu, 13 grudnia, przyjechał do mnie Jurek Petryniak, aby zastanowić się, co robić w poniedziałek w Instytucie. Z urzędu powinien skontaktować się z przewodniczącym i wiceprzewodniczącym, ale nie mógł ich tego dnia znaleźć. Warto przypomnieć, że przed wprowadzeniem stanu wojennego w regionie Dolny Śląsk został przyjęty dwupoziomowy system łączności pomiędzy zakładami. Mieliśmy podtrzymywać połączenia terytorialne i resortowe. W połączeniu terytorialnym utrzymywaliśmy kontakt z najbliższym zakładem pracy, w resortowym – kontakt z uczelniami. Instytut utrzymywał kontakt z Politechniką Wrocławską, do czego ja byłem oddelegowany przez Komisję Zakładową. Ustaliliśmy więc, że rano Jurek rozpocznie strajk w Instytucie Immunologii, a ja jakoś dotrę na Wybrzeże Wyspiańskiego do gmachu głównego Politechniki, aby uzyskać tam informacje, ulotki itp.

Związek był kompletnie nieprzygotowany na wypadek wprowadzenia stanu wyjątkowego. Jak pamiętam, Kornel w czasie I Zjazdu NSZZ „Solidarność” starał się zainteresować delegatów Zjazdu tematem samoobrony Związku na wypadek agresji ze strony władz PRL, ale nikt z przywódców „Solidarności” nie traktował takiego zagrożenia poważnie i temat wraz z jego inicjatorem został zignorowany. Rezultat tego był taki, że nie wiedzieliśmy, jak działać w stanie wojennym. Władza specjalnie użyła terminu „stan wojenny” zamiast „stan wyjątkowy”. „Stan wyjątkowy” był terminem powszechnie używanym w kontekście ewentualnej agresji ze strony władzy, natomiast „stan wojenny” był pojęciem prawie nieznanym, mającym na celu zdezorientowanie członków Związku. Po części się to władzy udało. Pamiętam, że wtedy – może to zabrzmieć dziś jak anegdota – niektóre komisje zakładowe nawoływały wręcz do zaprzestania strajków, ponieważ jest stan wojenny i prawo do strajków zostało zawieszone.

W poniedziałek rano udałem się do politechniki, gdzie znałem sporo osób. Panował tam wtedy straszny bałagan, nikogo nie można było znaleźć, wszyscy biegali. Docierały do mnie strzępy sprzecznych informacji. W końcu jednak dowiedziałem się, że wszystkie większe zakłady we Wrocławiu strajkują, trwają strajki również w innych miastach Polski. Dostałem też na miejscu wydrukowane ulotki. Kiedy zamierzałem opuścić gmach politechniki, okazało się, że wojsko otoczyło uczelnię. Nie wpuszczano nikogo na teren politechniki. Nie wiedziałem, co mam robić: zostać tutaj, czy mimo wszystko starać się z ulotkami wrócić do Instytutu. Zdecydowałem się wracać. Wyszedłem bardzo stanowczym krokiem i przedarłem się przez kordon wojska izomowców. Na szczęście nikt mnie nie zatrzymał.

Po powrocie do Instytutu poinformowałem kolegów o sytuacji we Wrocławiu i w kraju. Zorganizowaliśmy w Instytucie całodobowe dyżury. Po kilku dniach, gdy akcje protestacyjne w największych zakładach pracy zostały rozbite przez ZOMO, zwołaliśmy zebranie wszystkich członków „S” i podjęliśmy decyzję o zawieszeniu strajku. Odbyło się to w bardzo dramatycznych okolicznościach. Nie było wśród uczestników zebrania jednomyślnej zgody na zawieszenie strajku. W końcu Jurek odczytał komunikat KS, był wzruszony, głos mu się łamał, jednak decyzja nie została zmieniona i strajk został zakończony.

□ Jakie były Twoje początki w działalności podziemnej?

To nie było tak od razu i nie było takie proste. Po zakończeniu strajku w Instytucie nie wiedzieliśmy, co mamy robić dalej. Mieliśmy świadomość, że przegraliśmy bitwę, ale nie wojnę. Większość działaczy „Solidarności” była internowana, nie mieliśmy więc żadnej koncepcji walki z juntą Jaruzelskiego. Było więc rzeczą naturalną szukać kontaktów z tymi działaczami „Solidarności”, którzy uniknęli internowania i znaleźli się w tzw. podziemiu. Jedynym człowiekiem, którego znałem w tamtym czasie, a który się ukrywał, był Kornel Morawiecki. Jak już wspominałem, znałem Morawieckiego jeszcze przed powstaniem „Solidarności”, chociaż spotkałem się z nim raz czy dwa razy. Pewnie w tamtym czasie nie bardzo mnie pamiętał. Znał natomiast bardzo dobrze Jurka Petryniaka, z którym łączyła go wieloletnia przyjaźń i wspólna działalność opozycyjna. Na przykład jeździli razem po Polsce za Papieżem w 1979 roku z transparentem „Wiara i Niepodległość”.

Podziemna działalność w zdelegalizowanej „Solidarności” była zupełnie czymś innym niż statutowa działalność Związku. Wymagała innych cech charakteru, innych ludzi. Nie wszyscy znani i wspaniali działacze legalnej „Solidarności” potrafili się odnaleźć w stanie wojennym. Krótko mówiąc, inni ludzie byli potrzebni na czas pokoju, a inni na czas wojny.

Moja decyzja nie była łatwa, ale zdarzyło się coś, co przesądziło o tym, że znalazłem się w centrum działalności podziemnej, a potem w „Solidarności Walczącej”. Po zakończeniu strajku w Instytucie Jurek był poszukiwany przez SB. Nie mogli go jednak aresztować, bo ciągle się im wymykał. Robił to w bardzo oryginalny sposób. Kiedy esbecy przychodzili po niego i pukali do drzwi, przywiązywał linę do balkonu i na niej zjeżdżał przez okno na ulicę. Ta umiejętność została mu z wysokogórskich wspinaczek. Jego żona Bronia chowała linę, otwierała drzwi i okazywało się, że męża nie ma w domu. Po kilku takich ucieczkach esbecja zorientowała się, dlaczego nie mogą go złapać i któregoś dnia jedni ustawili się pod drzwiami, a drudzy pod oknem i tak go aresztowano. Przy zatrzymaniu zaczął się z nimi szarpać, ale nie udało mu się niestety im wyrwać. Został skuty kajdankami, wrzucony do nyski, a tam pobity do tego stopnia, że miał pękniętą kość skroniową i wstrząśnienie mózgu. Nieszcześnie to nie tylko dotknęło Jurka, ale również jego rodzinę. Bronia była załamana, a ich starsza córka Magda reagowała histerycznie na każdy dzwonek do drzwi.

Przy Jurku SB znalazła notatnik z adresami i zatrzymała tymczasowo prawie wszystkie osoby, których adresy miał przy sobie. Mojego adresu na szczęście tam nie było i to uratowało mnie od kontaktu z SB i w pewnym sensie przesądziło o mojej podziemnej działalności. Było to w lutym 1982 roku. Po aresztowaniu Jurka wraz z kolegami z Instytutu pomagaliśmy Petryniakom. Na przykładzie Jurka i jego rodziny zobaczyłem z całą wyrazistością brutalność totalitarnego systemu i to było decydującym motywem do szukania kontaktu z podziemnymi działaczami „S”. Miał to być mój skromny wkład, moja prywatna zemsta za to, co SB zrobiła Jurkowi i jego rodzinie.

Ktoregoś dnia Bronia skontaktowała mnie ze Zbyszkim Oziewiczem, który był przyjacielem Kornela i, jak się później dowiedziałem, pozostawał z nim w stałym kontakcie. W trakcie naszego pierwszego spotkania Zbyszek naopowiadał mi całe mnóstwo historii o działalności podziemnej „Solidarności”. Opowiedział mi o wysokiej klasy spręcie, jakim dysponują, o zakonspirowanych strukturach, wyspecjalizowanych sekcjach, o niesłychanie rozbudowanym zapleczu. Na dodatek miał radio nastawione na częstotliwość, na której pracowała esbecja, i radio ciągle się odzywało.

Odniosłem wrażenie, że organizacja jest wszechobecna i wszechpotężna, przy której reżym Jaruzelskiego wydał mi się jakimś niesmacznym żartem. Naiwnie uwierzyłem we wszystko, co mi Zbyszek powiedział, a jaka była prawda, miałem się wkrótce przekonać. Opowiadanie to, z jednej strony, zachwyciło mnie, a z drugiej, pognębiło. Nie widziałem dla siebie miejsca w tak doskonałej podziemnej organizacji. Cóż mogłem tam robić bez żadnego konspiracyjnego doświadczenia? Zbyszek spostrzegł, że zagalopował się w swoich opowieściach i jakby na pocieszenie dodał, że dla mnie również znajdzie się miejsce

w podziemnej „Solidarności”. Wspomniał o jakiejś grupie, w której mógłbym działać. Grupa, o której Zbyszek wspominał – jak się okazało – było to kilka osób skupionych wokół Kornela Morawieckiego, które od pierwszego dnia stanu wojennego pomagały mu w ukrywaniu się, redagowaniu, drukowaniu i kolportażu pisma „Z dnia na dzień”.

□ Jakie były Twoje początki w Solidarności Walczącej? Czy rozpoczynając działalność w SW, byłeś świadomy dokonywania wyboru pomiędzy „S” a SW?

Nie, nie, to wyglądało inaczej. Chociaż działałem w jakiejś strukturze, to jednak działałem z określonymi ludźmi i to decydowało o mojej przynależności i solidarności. Nie zwracałem sobie głowy etykietkami, interesowałem się tym, z kim, co i jak mam zrobić. Bardziej koncentrowałem się na tym, na ile można danemu człowiekowi zaufać, niż na tym, skąd jest.

□ Czy o wyłonieniu się Solidarności Walczącej zadecydowały bardziej czynniki taktyczne, czy ideowo-polityczne?

Trudno na to jednoznacznie odpowiedzieć, bo nie da się tego tak wyraźnie rozgraniczyć. Trzeba pamiętać, że po wprowadzeniu stanu wojennego wysoko postawieni działacze związku byli w szoku, nie potrafili się odnaleźć w nowej sytuacji. Przed grudniem 1981 roku dysponowali jakąś władzą, byli wpisani w solidarnościową rzeczywistość. Po wprowadzeniu stanu wojennego stanęli przed perspektywą zejścia do podziemia. Było to dla wielu z nich mało atrakcyjne. Co mieli w tym podziemiu robić? Gazetki wydawać? W związku z tym chcieli, może nawet nieświadomie, doprowadzić do zawarcia jakiegoś porozumienia z władzą. Nie chodziło im nawet o takie porozumienie, jakie zostało potem zawarte przy „okrągłym stole”, takie rzeczy to im się wtedy nie marzyły. Chcieli coś małego od władzy wytargować. Podpowiadali więc komunistom takie rozwiązania stanu wojennego, które mogliby zaakceptować. Warto przypomnieć, że wtedy ogłoszono „tezy prymasowskie”, które były popierane i nagłaśniane przez działaczy NSZZ „S”, między innymi przez Władka Frasyniuka. Trudno było im się pogodzić z myślą, że władza nie chce zawierać z działaczami „S” żadnego kompromisu, bo przecież nie po to Jaruzelski wprowadził stan wojenny. Jakoś ta prosta prawda do nich nie trafiała. Część jednak opozycji politycznej była świadoma tego, że żaden kompromis nie jest możliwy, że trzeba ekipę Jaruzelskiego nękać nieustannie i w konsekwencji może to doprowadzić do korzystnego dla społeczeństwa rozwiązania stanu wojennego. Tak mniej więcej wtedy rysowały się różnice stanowisk odnośnie stanu wojennego.

□ Co bezpośrednio zadecydowało o powstaniu Solidarności Walczącej?

Powstanie Solidarności Walczącej zostało wymuszone poprzez szereg nieporozumień pomiędzy Władysławem Frasyniukiem a Kornelem Morawieckim. Nieporozumienia te dotyczyły strategii działania „S” w rzeczywistości stanu wojennego.

Logiczną konsekwencją różnicy stanowisk odnośnie rozwiązania stanu wojennego – o czym wspominałem wcześniej – były dwie różne koncepcje walki z reżymem: stricte związkowa, ograniczona tylko do tych środków, którymi dysponują związki zawodowe na całym świecie, a więc strajki, działania propagandowe, naciski polityczne itp. – oraz druga koncepcja – nazwałbym ją „partyzancko-niepodległościową”, która oprócz metod związkowych proponowała również demonstracje, samoobronę, uprzykrzanie życia komunistom i ludziom popierającym reżym, różne spektakularne akcje propagandowe, jak na przykład nadawanie audycji radia „S”. Mówiąc bardzo konkretnie: W. Frasyniuk chciał poprzez tajne struktury „S” przygotować zakłady pracy do strajku generalnego i w określonym czasie zatrzymać Dolny Śląsk i całą Polskę. Koncepcja ta teoretycznie miała szanse powodzenia, gdyby udało się doprowadzić do tak dobrej organizacji wszystkich zakładów pracy poprzez tajne Komitety Strajkowe, gdyby... Kornel – jak chyba większość skupionych wokół niego osób – nie negował siły zdelegalizowanego Związku, ale również doceniał wartość czegoś, co można nazwać „ułańska fantazją” Polaków. Był – może to zabrzmieć jak paradoks – pragmatykiem i nie przeceniał rzeczywistości. A rzeczywistość nie wyglądała zachęcająco. Ludzie się bali, z każdym kolejnym dniem stanu wojennego tracili ducha walki. Trzeba więc było tego ducha sierpniowego zrywu w narodzie podtrzymać.

Jak się potem wielokrotnie okazywało, ludzie byli bardziej skory do jednorazowego czynu podyktowanego emocjami niż do pracy konspiracyjnej pod stałą groźbą aresztowania. Temperament i instynkt Kornela kazał mu iść właśnie w kierunku „walki partyzanckiej” – ciągłego nękania komuny spektakularnymi akcjami protestacyjnymi.

Te różnice w koncepcji walki z komuną między Frasyniukiem i Morawieckim pogłębiały się pomimo wielu gestów dobrej woli z obu stron. Rozstanie zbliżało się nieuchronnie, z czego sobie obaj zdawali sprawę. Do ostatecznego zerwania żadna ze stron nie była jednak przygotowana. Bali się strat moralnych, propagandowych, a przede wszystkim strat w ludziach i sprzęcie, jakie musiałoby pociągnąć za sobą takie rozstanie. Przed ostateczną decyzją Frasyniuk poczynił szereg kroków, aby pozyskać związanych z Kornelem działaczy dla Regionalnego Komitetu Strajkowego (RKS). Cel taki przyświecał m.in. spotkaniom, jakie Frasyniuk odbył na wiosnę 1982 roku. Na jedno z takich spotkań został zaproszony Bogdan Aniszczuk i ja. Spotkaliśmy się z Frasyniukiem i Basią Labudą. Zasadniczym tematem spotkania była chęć pozyskania ludzi dla RKS-u oraz sondaż „opinii publicznej” podziemnych działaczy na temat ewentualnego rozstania się RKS-u z Morawieckim. Władek zaproponował nam pracę w strukturach „S”. Mielibyśmy być odpowiedzialni za tworzenie podziemnych struktur i przygotowywanie ludzi pracujących w służbie zdrowia i na uczelniach do strajku generalnego. Nie powiedzieliśmy o tym spotkaniu Kornelowi, bo nie chcieliśmy zaostrzać i tak już nie najlepszych między nimi stosunków.

Jakiś czas później Frasyniuk zdecydował odebrać Morawieckiemu redakcję „Z dnia na dzień” – dziennika NSZZ „Solidarność” regionu Dolny Śląsk. Jako przewodniczący RKS-u miał takie prawo i Kornel nie miał do niego pretensji, nie zgadzał się, ale szanował jego decyzję. I tak Kornel został zmuszony do działania poza strukturami podziemnej „Solidarności”.

W czerwcu 1982 roku Morawiecki zwołał zebranie wszystkich, którzy z nim współpracowali. Mielśmy świadomość, że jest to zebranie historyczne. Zebranie miało chwilami bardzo burzliwy przebieg. Jedni odradzali zupełne zerwanie z RKS-em, inni na to nastawiali. Zastanawialiśmy się, co dalej robić. Wtedy, zdaje się, że Kornel zaproponował nazwę „Solidarność Walcząca”. Uzasadniał to tak: „skoro wywodzimy się i jesteśmy Solidarnością, to słowo to musi znaleźć się w naszej nazwie. Ale Solidarność to za mało powiedziane, my mamy być taką Solidarnością, która będzie walczyła o ludzi i o ich prawa”. Przyjeliśmy nazwę „Solidarność Walcząca”. Wtedy nie mieliśmy jeszcze żadnej struktury i trudno się było nazwać organizacją. Nazwaliśmy się więc Porozumieniem. I nazwa została – „Porozumienie „Solidarność Walcząca”. Chcieliśmy wokół Porozumienia skupić jak najwięcej osób i istniejących, już podziemnych struktur, które opowiadały się za czynnym oporem.

Dla niektórych uczestników zebrania taka płaszczyzna porozumienia była nie do zaakceptowania i część działaczy odeszła do struktur Związku. Tak odszedł Bogdan Aniszczuk do RKS-u. Spotykałem się z nim potem wielokrotnie i chociaż działaliśmy w innych organizacjach, to łączyła nas swoista lojalność i solidarność. Mówię o tym, bo takie relacje, jak moje z Bogdanem, były dość powszechne między działaczami SW a RKS-u. Różnice metod działania i struktur nie przysłaniały nam celu, o który walczyliśmy.

Na początku Porozumienie „Solidarność Walcząca” funkcjonowało jako nieformalna grupa zrzeszająca Komitety Strajkowe z różnych zakładów pracy. Potem przekształciliśmy się w Organizację. Współpraca z Solidarnością Walcząca w niczym nie przeszkadzała Komitetom Strajkowym być lojalnym wobec RKS NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk. Rola SW polegała na utrzymywaniu kontaktów z Komitetami Strajkowymi w zakładach pracy, na przekazywaniu informacji, pomocy w drukowaniu i kolportażu gazetek oraz pomocy w organizowaniu czynnego oporu.

□ Czy to może tłumaczyć sukcesy SW?

W pewnym sensie tak, bo SW wypełniała próżnię, która powstała po wprowadzeniu stanu wojennego i internowaniu przywódców „S”. Wiele działaczy, którzy z różnych względów nie zostali internowani i ci, którzy stopniowo byli zwalniani z internatów,

nie potrafiła pogodzić się z rzeczywistością stanu wojennego, a będąc bardziej radykalni w swoich poglądach niż ogół społeczeństwa, szukali miejsca dla siebie poza strukturami podziemnej „S”. I takich ludzi zrzeszała i organizowała „Solidarność Walcząca”.

□ Jak kształtowały się struktury SW?

Można powiedzieć, że był przewodniczący Kornel Morawiecki, była Rada, która, jak sama nazwa wskazuje, miała radzić, a potem jeszcze był Komitet Wykonawczy. Ale co tu radzić, kiedy czas był bezradny, co wykonywać, kiedy nasze cele i zadania były czasami niewykonalne?

A poważnie mówiąc, to porównałbym rozwój SW do rozwoju glonu, bo ta biologiczna metafora najlepiej oddaje istotę sprawy. Głon nie ma wyspecjalizowanych tkanek odpowiedzialnych za określone funkcje biologiczne. Odcięty w jednym miejscu glon, odrasta w drugim. Tak wyglądała na początku SW. Niby była organizacja, ale tej organizacji nie było. Był to twór, który rósł wszędzie tam, gdzie miał sprzyjające ku temu warunki. Nasz pogląd na to, jak mamy działać, zmieniał się w czasie, ewoluował. Nigdy nie mieliśmy do końca wykrystalizowanej idei, jak walczyć z komuną. Rozwijaliśmy się przez cały czas i to było naszą mocną stroną.

Koncepcyjnym błędem działania Służby Bezpieczeństwa, która włożyła bardzo wiele wysiłku, aby zniszczyć SW, było to, że oni ciągle szukali jakiejś konkretnej zhierarchizowanej organizacji. Wydawało im się, że istnieje gdzieś centrala, która raz zniszczona pociągnie za sobą nieuchronny rozpad całej SW i będą mieć z nami raz na zawsze spokój. Aresztowali kolporterów, likwidowali drukarnie, przymykali na 48 godzin osoby podejrzone o działalność w strukturach SW, a pismo SW było redagowane, drukowane i kolportowane bez większych zakłóceń. Nawet po aresztowaniu Kornela, Hanki Łukomskiej i Andrzeja Kołodziejki, po zatrzymaniu na 48 godzin Andrzeja Zaracha, Wojtki Myśleckiego, mnie i jeszcze kilku działaczy kolejny numer SW ukazał się bez opóźnienia. Było to możliwe, ponieważ poszczególne komórki SW cieszyły się dużą autonomią. SW tworzyli ludzie przedsiębiorczy. Kiedyś K. Morawiecki powiedział, że w SW możesz mieć tyle władzy, ile potrafisz sobie wziąć, ile potrafisz sobie rzeczy zorganizować. Jeżeli np. chcesz być szefem kolportażu, to twój zakres władzy będzie zależał od tego, ile znajdziesz źródeł dostawy prasy, ile zorganizujesz skrzynek, ile znajdziesz odbiorców i ile tych odbiorców namówisz do zakupu prasy i kolportowania jej dalej. Jeżeli będziesz czekał, że ktoś coś zrobi za ciebie, to nie będziesz w ogóle miał żadnej władzy i nic nie zdziałasz. Każdy robił to, co potrafił, jak potrafił i tyle, ile mógł.

□ Za co Ty byłeś odpowiedzialny?

Odpowiedź na to pytanie wiąże się z odpowiedzią na pytanie poprzednie. Zajmowałem się wieloma sprawami, które czasami nakładały się na siebie. Oprócz działalności w SW, po wyjeździe J. Petryniaka do Stanów Zjednoczonych zostałem przewodniczącym Komitetu Strajkowego NSZZ „S” Regionu Dolny Śląsk w Instytucie Immunologii i kolportowałem prasę. Dostarczałem ją poprzez kurierów do Dzierżoniowa i Legnicy. Przez pewien czas zajmowałem się sprawami finansowymi. Do mnie spływały pieniądze z różnych ośrodków w Polsce i z zagranicy. Nie było to wszystkie pieniądze, którymi obracała SW. Były to pieniądze przeznaczone na tzw. czarną godzinę. Oczywiście nie dysponowałem nimi fizycznie. Były one ulokowane u różnych osób, z którymi tylko ja miałem kontakt.

W Komitecie Wykonawczym nie było ścisłego rozdziału funkcji. Przez jakiś czas byłem kwatermistrzem SW, organizowałem lokale, gdzie Kornel mógł mieszkać, lokale na skrzynki itd. Miałem oczy i uszy otwarte i kojarzyłem fakty. Jeżeli wiedziałem, że gdzieś jest dobre miejsce na mieszkanie, skrytkę czy drukarnię, organizowałem to. Miałem np. dobrego znajomego w Instytucie Immunologii, Krzysia Szczepańskiego, który był świetnym kierowcą i miał samochód, a co najważniejsze, wzbudzał moje zaufanie. Poprosiłem go, czy nie mógłby wozić Kornela, zgodził się. A potem działał dalej niezależnie i poprzez swoje kontakty zorganizował dla SW wiele potrzebnych rzeczy.

□ W jakich okolicznościach zostałeś aresztowany w 1984 roku. Moje aresztowanie zostało spowodowane przez wpadkę Kazimierza Klementowskiego, pseudonim „Bystry”. Był świetnym

organizatorem i bardzo energicznym człowiekiem. Był między innymi odpowiedzialny za przerzut bibuły do Kłodzka. Pomogłem mu zorganizować skrzynkę, z której miała być odbierana bibuła. Pewnego dnia, chyba pod koniec grudnia 1983 roku, przyjechał łącznik z Kłodzka o pseudonimie „Harpun” z „ogonem” po odbiór bibuły i doprowadził SB do skrzynki. SB założyła tam „kocioł” i aresztowała Klementowskiego, który nie miał żadnego interesu, aby pójść do tego mieszkania. Niestety, był bardzo pedantyczny i poszedł sprawdzić, czy bibuła została zabrana. Fatalny brak BHP. Jak poszedł, to już z tamtej skrzynki nie wyszedł. Podczas przesłuchań zaczął mówić. Zachęciło to SB, żeby go mocniej przyciskać i tak wyspał kilkanaście osób. Znalaziono w jego notiesie moje nazwisko i numer telefonu do pracy. Zostałem zabrany z Instytutu Immunologii na przesłuchanie. Pytali mnie o różne rzeczy, między innymi o to, czy znam Klementowskiego. Powiedziałem, że nie znam. Po 24 godzinach wypuścili mnie, ponieważ nie mieli podstaw, żeby mnie aresztować. Po dwóch dniach zatrzymano drugą osobę – Marka Jakubca, który pracował w Instytucie Immunologii. Wcześniej skontaktowałem go z Klementowskim. Jakubiec przyszedł się do tego, że ja go skontaktowałem z Klementowskim. Sobie tym nie pomógł, a mnie dołożył. Wtedy SB miała zeznania dwóch niezależnych świadków, a to wystarczało, aby mnie aresztować. Przeczuwałem, co się wokół mnie dzieje, przestałem mieszkać w domu i chodzić do pracy. Pewnie zszedłbym do podziemia, ale stało się inaczej. Moja żona była w ostatnich dniach ciąży w szpitalu, na ul. Dyrekcyjnej. Poszedłem ją odwiedzić, a tam już czekała na mnie SB. Po odwiedzinach zostałem zatrzymany przed szpitalem.

W wyniku wpadki Klementowskiego zorganizowano dwa procesy: proces dwunastu i proces dwudziestu. Byłem sądzony w procesie dwunastu. Prokurator nie mógł postawić mi żadnego konkretnego zarzutu, ponieważ do niczego się nie przyznałem, a Klementowski i Jakubiec po konfrontacji ze mną częściowo odwołali swoje poprzednie zeznania. Zostałem więc oskarżony o wspomaganie osób, które działały w nielegalnych strukturach zdelegalizowanej „Solidarności”. W akcie oskarżenia figurowałem na ostatnim miejscu z całej dwunastki, ale jako jedyny siedziałem w areszcie do amnestii w lipcu 1984 roku. Nie pomogły poręczenia pani prof. Elwiry Lisowskiej ani pana prof. Henryka Mateja. Po trzech miesiącach aresztu zostałem zwolniony z pracy. A po amnestii dzięki dyrektorowi prof. Słopkowi i solidarnej postawie pracowników Instytutu zostałem ponownie przyjęty do pracy na to samo stanowisko. Taka była cena, którą zapłaciłem za milczenie.

□ Jakie były kulisy prowokacji w Pile?

Było to przed Wielkanocą 1986 roku. Kornel albo Hanka wspomnieli o jakimś człowieku z Piły, który regularnie przyjeżdżał do Wrocławia po bibułę i zrobił bardzo dobre wrażenie na osobach, które się z nim bezpośrednio kontaktowały. Człowiek z Piły twierdził, że jest tam grupa ludzi, która chciałaby założyć oddział SW. Trzeba więc, aby ktoś tam pojechał, zaprzysiął ich i pomógł się im zorganizować. Oczywiście było pewne ryzyko, że może to być jeszcze jedna prowokacja SB. Po dłuższej dyskusji na ten temat, Hanka powiedziała: „Ty możesz jechać, bo tobie i tak już nic nie zaszkodzi; jak wpadniesz to trudno; nie pierwszy raz”. Tak zachęcony zdecydowałem się tam pojechać. Drugą oddelegowaną osobą był Zbyszek Oziewicz. Przed wyjazdem do Piły spotkaliśmy się z tym człowiekiem we Wrocławiu, w mieszkaniu człowieka o pseudonimie „Wierzbą”. Człowiek z Piły przedstawił się nam chyba jako Krzysztof. Był szczupły, nawet chudy, szatyn o długich prostych włosach i pociągłej twarzy, bardzo nerwowy. Miał rozbiegane oczy i właśnie te oczy nie podobały mi się. Umówiliśmy się z nim, że pojedziemy na spotkanie założycielskie SW do Piły. Zabraliśmy ze sobą bardzo dużo bibuły, bo z Piły mieliśmy jeszcze pojechać do Torunia odwiedzić znajomych Zbyszka.

Na zebranie w Pile przyszło około 10 osób. Kiedy teraz, po latach, myślę o tym, to wydaje mi się, że tylko Krzysztof był prowokatorem SB. Reszta sprawiała na mnie wrażenie ludzi uczciwych. Zaprzysięgliśmy ich. W czasie spotkania Krzysztof rozrzucał przed nami świetlane perspektywy współpracy. Samych „Biuletynów Dolnośląskich” zamówił 200 egzemplarzy,

była to przesada, gdyż miałem pewne rozeznanie i wiedziałem, w jakich środowiskach, co i ile może się rozejść. Jak mi ktoś wyskakiwał z taką nieprawdopodobną liczbą, to wiedziałem, że albo prowokator, albo chce zdobyć uznanie środowiska. Kiedy on powiedział 200 sztuk, inni zaprotestowali – „Krzysiek, zastanów się, gdzie to pójdzie”. A on im na to: „Nic się nie bójcie, ja wiem, gdzie to pójdzie...”

Kilka miesięcy później, SB pokazała mi dowód, z którego wynikało, że wyprawa do Piły była obserwowana przez SB. W czasie kolejnego zatrzymania esbek, którego nigdy wcześniej nie widziałem, starał się mnie w prymitywny sposób zastraszyć, krzyczał na mnie i straszył się przy tym denerwował, bo na żadne z jego pytań nie odpowiadałem. W końcu nie wytrzymał i ryknął: „Myślisz, że co, że my nic nie wiemy! Masz nas za idiotów! Chcesz nam wcisnąć ciemnotę, że ty jesteś czysty jak łąka?” Po czym poszedł do szafy pancерnej i wyciągnął teczkę, a z niej zdjęcie i zapytał: „A to co, przypominasz sobie?” Spojrzałem na zdjęcie i powiedziałem: „Jakiś człowiek trochę podobny do mnie”. Było to zdjęcie zrobione w czasie wchodzenia do bramy budynku w Pile.

Można zapytać, jaki sens dla SB miała ta cała maskarada? Z pewnością chcieli założyć oddział SW w Pile i wszelkimi środkami rozbudować go do takich rozmiarów, aby ściągnąć tam Kornela Morawieckiego i go aresztować. Takich prowokacji było więcej, o czym opowiadał już Andrzej Zarach w wywiadzie zamieszczonym w „Solidarności Walczącej” kilka miesięcy temu.

□ Czy SB próbowało wciągnąć Cię do jakichś negocjacji. Oferty porozumienia składane były między innymi A. Zarachowi i W. Myśleckiemu?

SB nigdy nie proponowała mi zwykłej współpracy na zasadzie donosiçelstwa, może dlatego, że nie dałem się zastraszyć w czasie pobytu w areszcie śledczym i wiedzieli, że na żadną współpracę z mojej strony liczyć nie mogą. Generalnie, dobór metody, jakie stosowała SB, był zależny od rozmówcy. Wobec ludzi pochodzących z tzw. pierwszej łapanki byli bardzo agresywni, nawet uciekali się do fizycznej przemocy, jednak nie w celu wymuszania zeznań. Chodziło raczej o odpowiedni efekt psychologiczny – sparaliżować człowieka i zmusić do współpracy albo przynajmniej tak nastraszyć, żeby już więcej w żadnej działalności opozycyjnej nie brał udziału. Wobec ludzi, którzy byli tzw. recydywą polityczną uciekali się do środków bardziej wyszukanych. Przedstawiali się, że są z kontrwywiadu, twierdzili, że nie interesują ich ulotki i prasa, ale to, że Morawiecki jest na usługach zachodnich służb wywiadowczych, a to już nie jest żadna działalność polityczna tylko zdrada państwa, za co grozi kara od 15 lat do kary śmierci włącznie.

Trzeba również pamiętać, że stan wojenny nieuchronnie minął, był rok 1986. Na Kremlu rządził Gorbaczow, a w Polsce Urban chciał stworzyć opozycję konstruktywną, z którą władza mogłaby się porozumieć. SW i inne niepodległościowe organizacje nie stwarzały dobrego klimatu politycznego do zawarcia historycznego kompromisu. O ile wcześniej władza chciała zlikwidować SW i zamknąć wszystkich ważniejszych działaczy, to na przełomie roku 1986 i '87 chodziło im o przekonstruowanie SW w opozycję konstruktywną, a Kornelowi, gdyby się okazał niekonstruktywny, proponować opuszczenie Polski. W czasie jednego z rutynowych zatrzymań pewien esbek wygłosił do mnie taki mniej więcej monolog: „My wiemy, mamy przecieki, że pan Morawiecki chętnie wyjechałby za granicę. Wyjazd Kornela Morawieckiego byłby rozwiązaniem optymalnym. On wyszedłby z twarzą, jako nieugięty działacz solidarnościowy, a jednocześnie przyczyniłoby się to do stabilizacji sytuacji w kraju. Nie wymagamy od pana natychmiastowej odpowiedzi, ale damy panu numer telefonu, pod który Kornel albo ktoś z jego otoczenia może zadzwonić, jeżeli będzie zainteresowany naszą propozycją. Mamy swoje kanały i możemy przerzucić Kornela na Zachód bez nagłaśniania tej sprawy”.

□ Jak wyglądało Twoje uprowadzenie do Oleśnicy?

To była jeszcze jedna próba wyciągnięcia Kornela z podziemia poprzez bardziej polityczne niż rutynowe działanie. Było to 4 grudnia 1986 roku. Wyszedłem przed czwartą po południu z Instytutu Immunologii. Szedłem ul. Czerską, przeciąłem Ślężną i skierowałem się na ul. Skierniewicką. Na tej ulicy podjechał

zielony Polonez, zatrzymał się przy mnie. Wysiadło z niego trzech drabów. Jednego z nich znałem. Był to esbek, który dość często odwiedzał Instytut Immunologii. Powiedział z wyszukaną grzecznością: „No, panie Andrzeju, prosimy do środka”. Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy to ta, że znowu chcą mnie zatrzymać na 48 godzin. Zostałem wciśnięty na tylne siedzenie pomiędzy dwóch drabów, z przodu esbek instytutowy i kierowca. W samochodzie powiedział mi, że nie jedziemy na komendę, tylko za miasto, ponieważ pewni panowie – jak się wyraził – chcieliby ze mną porozmawiać. Jak to usłyszałem, to przeżyłem coś, czego nie da się opisać, przeszył mnie taki śmiertelny dreszcz, że aż poczułem, jak włosy stają mi dęba na głowie. Było to po zamordowaniu ks. Popiełuszki i po porwaniach działaczy „S” w Toruniu – nierutynowych działaniach SB, które polegały na wywożeniu poza miasto i torturowaniu podejrzanych o antykomunistyczną działalność ludzi. Pomyślałem sobie, że ja już z tej przejażdżki żywy nie wrócę. Miałem tylko nadzieję, że nie będę się długo męczył. Nie wiedziałem, co mam robić – rzucić się na okno, wrzeszczeć? A oni przez cały czas uspokajali mnie. Myślałem sobie: „No tak, nie chcą mnie przed wykończeniem straszyć, bo jesteśmy jeszcze w mieście”.

Zawieźli mnie do hotelu Perła w Oleśnicy, gdzie doprowadzono mnie do pokoju, w którym siedzieli dwóch mężczyzn w średnim wieku. Przedstawili się, że są z „dwójki”. Nie wyjaśnili mi, co to jest „dwójka”. Widocznie zakładali, że wiem, iż „dwójka” to kontrwywiad. Na wstępie powiedzieli mi, dlaczego tutaj się spotykamy, a nie gdzie indziej. Chodziło o poufne rozmowy i dyskrecję, na której im i mnie miałyby jakoby zależeć. „Gdybyśmy spotkali się we Wrocławiu, to za parę godzin stałoby się to tajemnicą poliszynelem” – dodał jeden z nich. Starali się mnie namówić na to, abym powiedział, gdzie ukrywa się Kornel Morawiecki. Zachowywali się wobec mnie bardzo kulturalnie. Oferowali mi za Morawieckiego zagraniczne wyjazdy służbowe, mieszkanie, sprzęt komputerowy, itp. Powiedziałem im: „Nie wiem, gdzie jest pan Morawiecki”. Jeden z nich odpowiedział mi na to: „Wierzę, że pan nie wie, ale pan jest jedną z osób która może wiedzieć, jeżeli będzie chciała”. A potem zaczęli oskarżać go o szpiegostwo. Mówili: „Wie pan, prędzej czy później to my go złapiemy. Mamy wiele materiałów również przeciwko panu. Sprawy, o które zostanie on oskarżony i cała Solidarność Walcząca, to nie będą sprawy polityczne, tylko sprawy związane ze zdradą państwa. Pan może dostać 5 lat. Ale niech się pan tym nie przejmuj – pocieszali – pięć lat pan nie przesiedzi. Wyjdzie pan po trzech latach, ale trzy lata dla człowieka nauki to koniec kariery zawodowej. Będzie pan skończony. Rozumie pan SKOŃCZONY.

Na zakończenie poutyskiwali, że chcieli się ze mną jakoś dogadać, ale ja, niestety, wybrałem siedzenie w więzieniu. Zapytali mnie, czy chce, aby mnie odwieźli do Wrocławia. Odpowiedziałem: „owszem” i mnie odwieźli.

Nieźle mnie wtedy przestraszyli. Nie bardzo wiedziałem, jak mam się po tym porwaniu zachować. Nagłaśniać sprawę, czy też przemilczeć całe zajście. Jeszcze tego samego dnia spotkałem się z Józefem Piniorem, który powiedział mi, żeby absolutnie nagłośnić sprawę porwania. „To cię tylko może chronić przed następnymi tego typu akcjami SB” – dowodził. Przekonał mnie. Informacje o moim porwaniu przekazał Wolnej Europie, a mi poradził, żeby skontaktować się z panią mecenas Aranką Kiszyną.

Następnego dnia napisałem list do Kiszczaka i złożyłem zażalenie do prokuratury, wnioskując o rozpoczęcie działań mających na celu ustalenie, kto mnie właściwie porwał. Czy to była SB, a jeżeli tak, to czy działali w ramach swoich zawodowych obowiązków, czy poza prawem? Nie dostałem od Kiszczaka żadnej odpowiedzi. Później dowiedziałem się, że mój list został przechwycony przez miejscową esbecję. Jednakże list ten został odczytany przez rozgłośnię Radia „Wolna Europa”. Miejscowa SB nie była pewna, czy ja tego listu nie przekazałem Kiszczakowi innymi kanałami. Na którymś z 48-godzinnych zatrzymań pytali mnie: „A czy pan minister odpowiedział na pana list?” Z tonacją głosu wywnioskowałem, że nie byli pewni, czy i co mógł mi odpowiedzieć. Odpowiedziałem im: „To jest sprawa,

pomiędzy mną a panem Kiszczakiem”. Więcej do tego tematu nie wrócili.

□ W jaki sposób znalazłeś się w USA?

Przed i po powstaniu „Solidarności” wiele osób wyjeżdżało z Instytutu Immunologii na stypendia do Stanów Zjednoczonych. Powstał swoisty „łańcuszek św. Antoniego”, każda osoba, która wyjechała na stypendium dzięki pomocy osoby poprzedniej, starała się załatwić stypendium dla osoby następnej, taka zawodowa solidarność. Wcześniej wyjechała moja koleżanka, Jola Kunicka, z którą pracowałem w tym samym laboratorium. Dzięki jej pomocy na początku 1987 roku przyznano mi stypendium z fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego na roczny staż w Memorial Sloan-Kettering Cancer Center w Nowym Jorku. Wyjazd mój jednak musiał być zatwierdzony przez władze PAN w Warszawie, ale tak się nieszczęśliwie składało, że moja sprawa ciągle nie mogła znaleźć się na porządku obrad komisji ds. wyjazdów naukowych. Sprawa ciągnęła się miesiącami. Nie pomogły moje telefony do Warszawy, nawet moje osobiste wycieczki do PAN-u. I pewnie ciągnęłoby się to tak w nieskończoność, gdyby nie dwa wydarzenia, które miały miejsce w listopadzie 1987 roku.

9 listopada, w poniedziałek w nocy został zatrzymany Kornel Morawiecki i Hanka Łukomska. Następnego dnia, dokładnie o 6 rano dzwonek do drzwi. Otwieram – SB. Pomyślałem sobie: pewnie kolejne rutynowe przeszukanie i zatrzymanie na 48 godzin przed referendum. SB przeszukała niedbale mieszkanie, zabrali trzy broszurki i niestety widzę, jak zamierzają zabrać mój kalendarz, w którym oprócz niekonspiracyjnych adresów były moje osobiste zapiski. Zdenerwowałem się i powiedziałem im stanowczo, że kalendarza im nie dam, bo to nie jest żadna nielegalna publikacja i wziąłem kalendarz do ręki. Esbek bezwzględnie zażądał, abym mu ten kalendarz oddał. Wpadłem prawie w szal. Zacząłem krzyczeć, że dobrowolnie im tego kalendarza nie dam, że będą musieli użyć siły, sprowadzić mundurowych, że zrobię im awanturę na cały budynek, że będą mnie nieśli na komendę i jeszcze coś w tym rodzaju im wykrzykiwałem. Poskutkowało, zgodzili się, że wezmą tylko część z adresami. Zawieźli mnie na plac Muzealny i zostawili na korytarzu, gdzie spotkałem Andrzeja i Elę Zarachów. Jakies pół godziny później przyszedł esbek, jeden z tych, który prowadził ze mną „rozmowy na szczeblu i z ramienia” w hotelu Perła w Oleśnicy, prawdopodobnie nazywał się Zygmunt Petryk i zabrał mnie na przesłuchanie. Było to bardzo dziwne przesłuchanie. O nic konkretnego mnie nie pytał. Chciał znać moje zdanie na temat II etapu reformy (?). Wiedziałem, że dzieje się coś dziwnego, ale nie przypuszczałem, że mają Kornela i Hankę. Rozmowa wyraźnie zmierzała donikąd. W końcu zapytałem go, jak długo jeszcze zamierza mnie tu trzymać. Powiedział, że zadzwoni do swojego szefa i zapyta. Po rozmowie z mitycznym szefem powiedział, że musimy tutaj jeszcze posiedzieć i porozmawiać. Tak zeszło do 12. Mówił coś o moim działaniu, dowodach, jakie mają, itd. W końcu oddał mi dowód i powiedział, że jestem wolny i tym mnie zaskoczył.

Po południu dowiedziałem się z ust Urbana, że wczoraj Morawiecki i Łukomska zostali zatrzymani. Była to dla mnie wiadomość druzgocąca. Nie wiedziałem, co mam w tej sytuacji zrobić, nie chciałem zrobić jakiegoś fałszywego kroku. Postanowiłem więc czekać na rozwój wydarzeń i odtwarzałem z niemal fotograficzną dokładnością przebieg ostatnich dni. Tak przypomniałem sobie mój ostatni list do Kornela. List dotyczył wartości nauki jako środka zdobywania wiedzy i jej wpływu na rozwój świata, zakończyłem go cytatem z książki Francois Jacoba pt. *Gra możliwości*, który pozwolę sobie tutaj przytoczyć:

„Nadzieja jest tym, co nadaje sens życiu. I w nadziei znajdujemy perspektywę, że pewnego dnia możliwe będzie przekształcenie świata obecnego w jakiś świat możliwy, który okaże się lepszy. Kiedy Tristan Bernard został wraz z żoną zatrzymany przez Gestapo, powiedział: Skończył się czas trwogi, teraz zaczyna się czas nadziei”.

Taki był koniec mojego ostatniego listu do Kornela, tak dramatycznie pasujący do sytuacji, że aż nie mogłem uwierzyć w zwykły zbieg okoliczności, widziałem w tym Bożą interwencję.

Jeszcze tego samego dnia dowiedziałem się, że oprócz mnie i Zaracha zatrzymali również inne osoby, chcieli w ten sposób sparaliżować SW. Jednak jak na ironię kolejny numer pisma ukazał się bez opóźnienia. Musiało to być dla SB dużym zaskoczeniem. Mityczne centrum SW ciągle istniało, a organizacja działała nadal. Kilka dni później rozpoczęły się akcje protestacyjne na rzecz uwolnienia Kornela i Hanki. Protestowały zakłady pracy i środowiska. Rozrzucono ulotki, rozwieszano plakaty i transparenty, wdawano oświadczenia. 24 listopada przyszedł do mnie, do pracy Piotr Medon z propozycją zorganizowania jakiejś akcji na rzecz uwolnienia Kornela i Hanki. Powiedziałem mu: „Wiesz, że czekam na paszport służbowy, aby wyjechać na stypendium i choć nic w tej sprawie się nie dzieje, to jednak mam wątpliwości, czy akurat teraz powinienem brać udział w takiej akcji”. Piotr, który zawsze był pełen optymizmu, odpowiedział mi z ujmującym uśmiechem: „Zobaczysz, po akcji protestacyjnej dostaniesz paszport w trybie przyspieszonym. Przekonał mnie. Wyszedłem wcześniej z pracy do domu, przebrałem się i nic nie mówiąc żonie, aby jej nie martwić, pojechaliśmy do Rynku. Tam na rusztowaniu od strony pregięża rozwiesiliśmy transparent i rozrzucailiśmy ulotki. Po 20 minutach przyjechało ZOMO, ściągnęli nas z rusztowania i zawieźli na komendę, a na drugi dzień nas zwolniono. Sprawę przekazano do kolegium w trybie zwykłym. Piotr oczywiście miał rację. Sprawa mojego wyjazdu na stypendium nabrała niewiarygodnego tempa. Na początku roku 1988 zebrała się komisja PAN ds. wyjazdów naukowych i załatwiła pozytywnie mój wniosek, w połowie lutego dostałem paszport, a 25 lutego byłem już w Nowym Jorku.

□ Dzięki temu w 1988 roku po deportacji Morawieckiego byłem współorganizatorem jego wizyty w Stanach Zjednoczonych. Jak wyglądał pobyt Morawieckiego?

Organizatorów wizyty Kornela w Stanach Zjednoczonych było wielu, powiedziałabym, że zbyt wielu, co niestety miało swoje negatywne konsekwencje polityczne. Głównym organizatorem wizyty Kornela był Darek Olszewski. Morawiecki przyleciał do Nowego Jorku razem z Ewą Kubasiewicz 1 czerwca 1988 roku. Jeszcze tego samego dnia mieli spotkanie w siedzibie Unii Polsko-Słowiańskiej w Nowym Jorku na Greenpointcie, gdzie zostali entuzjastycznie przyjęci.

Pomimo entuzjastycznego przyjęcia w Nowym Jorku generalnie wizyta Kornela Morawieckiego w USA nie należała do udanych. Jedną z podstawowych słabości tej wizyty był brak zaplecza technicznego i czegoś, co nazywa się protokołem dyplomatycznym każdej oficjalnej wizyty politycznej. Wizyty polityczne planuje się bardzo szczegółowo z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, a tu nie było na to czasu, bo wszystko potoczyło się bardzo szybko. Pomagałem jednak Kornelowi, jak umiałem najlepiej. Pomagałem w pisaniu przemówień, organizowaniu spotkań, trochę mu doradzałem, a czasami stanowczo odradzałem. Wiele mu nie pomogłem, bo byłem w Ameryce zaledwie trzy miesiące i nie miałem większego rozeznania ani w środowisku polonijnym, ani w instytucjach politycznych USA, w których Morawiecki powinien złożyć wizytę. Pobyt Kornela w USA przypominał ruchy konika szachowego. Morawiecki skakał z jednego miejsca w Ameryce na drugie w zależności od tego, kto się do niego pierwszy dozwonił i zaprosił na kolejne spotkanie.

Oprócz spotkań w środowiskach polonijnych Morawiecki odbył szereg spotkań z politykami amerykańskimi, którzy mogli mieć ogromny wpływ zarówno na jego karierę polityczną, jak też na podniesienie prestiżu SW. Dzięki zaangażowaniu pana Jana Nowaka-Jeziorańskiego Kornel miał tzw. hearing w Departamencie Stanu w Waszyngtonie. Takie spotkanie było doskonałą okazją, aby przedstawić SW jako organizację walczącą o wolność ekonomiczną, polityczną i religijną każdego człowieka w Polsce, pokazać egzotykę walki podziemnej w PRL, zainteresować polityków amerykańskich skromnymi sukcesami SW. Kornel, niestety, nie wykorzystał tej szansy i w swoim przemówieniu wniósł się na wysoki poziom abstrakcji – mówił o komunizmie, pierestrojce i reakcji Zachodu, jakby chciał pouczać zawodowych polityków, co mają myśleć o Związku Sowieckim. Żeby nie być gołosłownym, zacytuję fragment z jego przemówienia w Departamencie Stanu, wygłoszonego 21 czerwca 1988 roku:

„Chociaż Zachód jest zahipnotyzowany pierestrojką i gласnością, my nie ulegamy tym iluzjom. Mimo że zmiany zainicjowane u szczytu władzy przez Gorbaczowa są zmianami w dobrym kierunku, to nie zapominajmy, że istnieją one w sferze propagandy i nie zmieniają mechanizmów systemu. Imperium sowieckie znalazło się na brzegu katastrofy. Komuniści chcieliby wzmacnić system, ale nie są zdolni dotrzymać kroku spirali zbrojeń, którą sami zainicjowali. Z tego to powodu życzliwie zgodzili się na rozmowy rozbrojeniowe i na ustępstwa na rzecz praw człowieka. Mając nadzieję na zachodnie kredyty i transfer technologii, obiecują demokratyzację, ale jak można zdemokratyzować państwo w systemie jednopartyjnym?”

Po wizycie w Waszyngtonie Kornel udał się do Chicago. Polonia w Chicago była w tym czasie bardzo skłócona. Jedni popierali zmiany w Polsce zainicjowane przez komunistów i opozycję konstruktywną, inni byli śmiertelnymi przeciwnikami komunistów i uważali, że tylko krwawa rewolucja może doprowadzić Polskę do demokracji. Byli tam i tacy, co uważali, że Kościół Katolicki w Polsce mało się angażuje w walkę z reżymem, inni byli święcie oburzeni na zaangażowanie Kościoła w sprawy polityki. Jeżeli jeszcze do tego dodamy nacjonalistów typu – „Polska dla Polaków” i Polaków z kresów wschodnich – „Polska od morza do morza”, a nadto będziemy pamiętać o agentach i prowokatorach wysłanych w ciągu ostatnich 30 lat przez reżym PRL, to będziemy mieli mniej więcej pełny obraz Polonii w Chicago.

1 lipca polecałem do Chicago, aby towarzyszyć i służyć pomocą Morawieckiemu w jego spotkaniach i już pierwszego dnia zrozumiałem, że Kornel z tej wizyty w Chicago nie wyjdzie bez szwanku, co więcej, on też o tym wiedział, ale nie miał wyjścia. Prawie wszystko, co Kornel powiedział, zaraz obracało się przeciwko niemu. Był za mniejszościami w Polsce, było źle, był za utrzymywaniem Polski w powojennych granicach – atak na niego i SW, był sceptycznie nastawiony do zmian w Sowietach – wywrotowiec, mówił, że zamierza wrócić do kraju – ludzie pukali się w czoło, przyjmował datki na działalność SW – dowiedział się, że przyjechał do USA, aby się wzbogacić, spotkał się z przedstawicielami jednego środowiska – miał przeciwko sobie inne. Udzielił wywiadu jednej gazecie, doczekał się niewybrednych ataków na swoją osobę w innej. Jedni przeciw drugim, a Kornel był im potrzebny jako środek do załatwiania własnych porachunków. Oczywiście w Chicago spotkał się Kornel z wieloma życzliwymi i bezinteresownymi osobami, które z wielkim zaangażowaniem pomagały i broniły go i chyba tylko dlatego jego pobyt w Chicago był w miarę udany.

Pamiętam, jak po jednym takim spotkaniu z Polonią ciągnącym się do późna w nocy, prawie uciekliśmy przed ludźmi, którzy ciągle coś od Kornela chcieli. Pojechaliśmy z Andrzejem Czumą do śródmieścia. Było po północy, upał. Nagle Kornel zaczął biec w kierunku jeziora i zrzucić ubranie. Pobiegłem za nim, zostawiając w osłupieniu Andrzeja i jeszcze kilka osób na promenadzie. Kilka minut później pływalismy w jeziorze Michigan. Kornel musiał jakoś odreagować te wszystkie spotkania, nieprzespane noce, ciągnące się godzinami rozmowy, tysiące twarzy i imion osób, które poznał. Było coś w tym naszym pływaniu nierealnego. Noc w Chicago, wokół rozświetlone drapacze chmur, a my w jeziorze Michigan – sen czy jawa? Nagle, w jednym momencie wróciła do mnie cała podziemna przeszłość. Tajne spotkania, nocne rozmowy, ucieczki przed SB przez piwnice i strychy dawno zapomnianych domów i ciągły pośpiech, aby zdążyć na czas... Gdyby mi ktoś rok wcześniej powiedział, że za rok będę pływał z Morawieckim w Chicago, w nocy, w jeziorze Michigan, pomyślałabym, że to jakieś brednie, niesmaczny żart. Rzeczywistość jednak okazała się bardziej szalona niż nasza działalność w Solidarności Walczącej. Ta kapiel podzielała na nas bardzo odświeżająco.

26 sierpnia Kornel Morawiecki po krótkiej wizycie w Kanadzie wrócił nielegalnie do kraju. Gdzie ponownie zszedł do podziemia, był to błąd, który – w moim przekonaniu – przesądził o jego dalszej karierze politycznej.

Lipiec 1993, Nowy Jork

Wywiad autoryzowano w maju 1998 roku, Ann Arbor, Michigan

Wrocław, 24 kwietnia 1998 r.

List do Redakcji „Życia”

Szanowna Redakcjo,

Jestem wiernym czytelnikiem „Życia”. Muszę przyznać, że podoba mi się wyważony, spokojny ton gazety i różnorodność poruszanej tematyki. Podzielał też na ogół — choć nie zawsze — wyrażane na jej łamach opinie. Tym większym zaskoczeniem były dla mnie niektóre stwierdzenia zamieszczonej na pierwszej stronie piątkowego numeru (24 kwietnia) notatki pod tytułem *Marsz pojednania*.

Odnoszę wrażenie, że tytułową tezę (rozwiniętą w tekście), iż Marsz Żywych był marszem pojednania między Polakami a Żydami, postawiono bez głębszego namysłu, bez zastanowienia. Po prostu — ładny tytuł, niezłe komponujący się na stronie. Jednakże w tym krótkim określeniu kryje się spory fałsz. O jakie bowiem pojednanie chodzi, pojednanie kogo z kim?

Marsz odbywał się dla upamiętnienia olbrzymiej, trudnej do wyrażenia i jeszcze dziś niemożliwej do pojęcia tragedii narodu żydowskiego. Padające akurat w tym kontekście słowo „pojednanie” pobrzmiewa dziwnym dysonansem. Któż bowiem może się godzić w Dniu Holocaustu, jeśli nie naród, z którego pochodziły ofiary zbrodni, z narodem, którego sumienie obarcza wina za tę zbrodnię? Oprócz Żydów w Marszu Żywych uczestniczyła grupa Polaków (z przedstawicielami najwyższych władz naszego kraju). Był w tym pewien symbol — bowiem przed półwieczem w niemieckim obozie Auschwitz ramię w ramię ginęli Żydzi i Polacy, dziś Żydzi i Polacy razem dają świadectwo pamięci tamtej tragedii. Użycie jednakże słowa pojednanie dla opisu tego wydarzenia implikuje niejako uznanie polskiej odpowiedzialności za holocaust. Jeśli już uznać konieczność jednania Polaków i Żydów — co uznaję za twierdzenie przesadne — znalazłoby się do tego wiele innych okazji.

Udział Polaków, w tym polskiego premiera, w Marszu Żywych był przede wszystkim gestem solidarności wobec narodu oplakującego swoje ofiary, ale stanowił równocześnie kolejne przypomnienie istnienia polskich ofiar tej samej zbrodni — faktu nadal nader chętnie ignorowanego w świecie. Także prawdę o polskich bohaterach, którzy z narażeniem życia własnego i swoich najbliższych ratowali Żydów, przesłania rysowany grubą kreską obraz Polaka-szmalcownika. W niektórych światowych mediach Polacy są traktowani gorzej nawet od sprawców zbrodni ludobójstwa — Niemców. Wiele środowisk, w tym te, których bezczynność ułatwiła w czasie wojny holocaust, zainteresowanych jest wywoływaniem w Polakach poczucia winy. Gdy więc i „Życie” mówi o konieczności pojednania polsko-żydowskiego, pamiętać należy o tym całym kontekście zewnętrznym.

Były i są między naszymi narodami liczne zaszłości, nie dotyczą one jednak w zdecydowanej większości tragicznych spraw, które upamiętniał Marsz Żywych. Z Żydami, przez stulecia współuczestnikami naszej narodowej historii, trzeba szukać porozumienia. Musimy jednak rozmawiać jak równi z równymi, nie zaś z poczuciem cudzej winy.

Romuald Lazarowicz

Od redakcji „SW”: Ponieważ list ten wysłany na początku maja do „Redakcji Życia” nie został przez nią opublikowany, udostępniamy go obecnie czytelnikom „Solidarności Walczącej”.

Ostrów Wielkopolski, 11.02.1998

Bóg — Honor — Ojczyzna. Jestem Polakiem, więc mam obowiązki — polskie

Odpowiedź krótka Panu M. Kozłowskiemu o Piłsudskim

Piłsudski nie był wskrzesicielem Polski i na miano takie nie zasłużył. Piłsudski i jego działalność nie przyczyniły się do odzyskania niepodległości. Bitwa warszawska nie decydowała o odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

Tytuł Marszałka uzyskał dość przypadkowo z uznania Rządu Rady Regencyjnej, również buława marszałkowska w dość przypadkowy sposób znalazła się i trafiła do rąk kardynała krakowskiego, który był członkiem niepodległościowego rządu, Rady Regencyjnej, podporządkowanej politycznie rządowi niemiecko-austriackim. Kardynał działał nie zawsze na rzecz niepodległości Polski, w wymiarach jak to nastąpiło. Bitwa warszawska nie była dziełem zwycięstwa strategii Piłsudskiego i jego dowodzenia. Piłsudski w najgorętszych zmaganiach od 12 VIII do 16 VIII 1920 roku nie brał udziału w bitwie na skutek złożonej na ręce premiera Witosa rezygnacji ze stanowiska Naczelnego Wodza i dowodzenia. Piłsudski w tych dniach był z wizytą u swojej niesłubnej żony. Pod nieobecność Piłsudskiego dowodził bitwą gen. szef sztabu, Tadeusz Rozwadowski, i to jest prawdą niezaprzeczalną, gen. Rozwadowski jest autentycznym zwycięzcą bitwy warszawskiej. Legiony Piłsudskiego nie odegrały żadnej znaczącej roli w odzyskaniu niepodległości Polski. Wprawdzie pierwszy sejm zatwierdził nominację Piłsudskiego na Marszałka, ale przyczyniły się do tego powiązania czasów urzędowania Rady Regencyjnej, m.in. kardynała krakowskiego.

A teraz inne przeszkody do umieszczenia trumny ze zwłokami Marszałka-ludobójcy:

1. Zamach majowy dla zdobycia nieograniczonej władzy dla siebie. Poległo około 800 żołnierzy czynnej służby.
2. Na polecenie J. Piłsudskiego dowódcą twierdzy w Brześciu nad Bugiem został mianowany płk. Kostek-Biernacki, któremu Marszałek nakazał zorganizowanie obozu koncentracyjnego dla przeciwników politycznych. Osadzono w nim opozycję parlamentarną, która na skutek sfałszowania wyborów przez BBWR nie weszła zarówno do sejmu, jak i do senatu.
3. Wszystkie wnioski wnoszone przez opozycję nie zyskiwały poparcia i uznania przez klikę sanacyjną. Działo się tak z powodu sfałszowanych wyborów, tak do sejmu, jak i do senatu. Wybory do sejmu i senatu powinny być unieważnione, co się przecież nie stało. Zaplanowała absolutna dyktatura w rodzaju hitlerowskiej w Niemczech.
4. Zorganizowanie pierwszego obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej dla opozycji politycznej z różnych partii politycznych.
5. Brał współudział w zamordowaniu gen. Zagórskiego.

Jako prawy obywatel, reasumując podane przeze mnie prawdy historyczne o Wielkim Marszałku Józefie Piłsudskim, postuluję i ja, i każdy uczciwy członek społeczeństwa polskiego o wydanie opinii i wyroku o całkowite usunięcie prochów b. Marszałka Piłsudskiego jako przestępcy politycznego i mordercy wielu polskich synów Ojczyzny naszej tylko za ich przekonania polityczne. **PRECZ Z JÓZEFEM PIŁSUDSKIM, NIECH ŻYJE WOLNA POLSKA!**

Witold Kasprzyk

Odpowiedź

Szanowny Panie,

Odpowiadając na zarzuty zawarte w liście do mnie, pragnę posłużyć się jedną z myśli Stefana Kisielewskiego: „Polemika z głupstwem nobilituje je bez potrzeby”.

Z poważaniem Marek Kozłowski